

MISJA OCALANIA

Werbistowskie opowieści
ciekawej treści

O. ALOJZY
O. ANDRZEJ

O. ANTONI
O. HENRYK

O. KRZYSZTOF
BR. MARIAN

MISJA OCALANIA

Werbistowskie opowieści
ciekawej treści

© Copyright by Biuro Misyjne Księży Werbistów
Kleosin, 2024

PRACA ZBIOROWA:

O. Anthony Erragudi SVD
O. Krzysztof Grzybek SVD
Br. Marian Paroń SVD
O. Alojzy Szczeponek SVD
O. Henryk Ślusarczyk SVD
O. Andrzej Zalewski SVD

ZDJĘCIA:

Archiwum SVD

KOREKTA:

be correct – Edyta Chrzanowska

WYDAWCA:

Dom Misyjny Świętego Kazimierza
Misjonarze Werbiści
ul. Zambrowska 24, 16–001 Kleosin
tel. 85 747 49 65, www.werbisci-kleosin.pl

Za pozwoleniem władz zakonnych.

DRUK:

Drukarnia Księży Werbistów
Górna Grupa, tel. 52 330 63 77
www.drukarnia-svd.com.pl
ISBN 978-83-970947-9-6

O. HENRYK ŚLUSARCZYK SVD

Werbista, misjonarz Zgromadzenia Słowa Bożego. Realizując swoje powołanie misyjno-zakonne, pełnił funkcje kapelana szpitalnego, wychowawcy i rektora w seminariach oraz dyrektora drukarni zakonnej. W latach 1985–2008 na misjach w Angoli. Obecnie przełożony wspólnoty w Kleosinie. Niestrudzony głosiciel Ewangelii, ceniony rekolekcjonista, spowiednik i kierownik duchowy.

Chciałoby się rzec, dzień jak co dzień. Lecz jest trochę inaczej. Jestem w Angoli już kilka lat. W tym czasie poznałem wielu ciekawych i niezwykłych ludzi. Pojawili się również i tacy, za spotkaniem z którymi nie tęsknię za bardzo. W tak krótkim czasie otrzymałem też wiele funkcji i zadań do spełnienia.

Teraz przyszedł taki czas, że kiedy dzisiaj rano spojrzałem w lustro w mojej łazience, zadałem sobie pytanie: *po co to wszystko i czy starczy mi sił?* Skąd je czerpać, aby z radością, a nie, bo tak wypada, głosić Ewangelię? Zapał apostołski i gorliwość ucznia Chrystusowego jakby trochę przygasły. Do tego wszystkiego dochodzi zmęczenie po niedawno przebytej malarii, którejś tam już z kolei, problemy techniczne z samochodem, niemożliwość zakupu żywności dla seminarium z powodu blokady naszego miasta przez wojsko i partyzantów. W Angoli objętej działaniami wojennymi rzeczą, niestety, normalną są trudne i niebezpieczne dla życia i zdrowia sytuacje. Tak jak wielu innych misjonarzy i misjonek, miałem okazję doświadczyć kilku takich sytuacji, gdzie otarłem się o śmierć. Zwierzyłem się z ciężaru tych doświadczeń osobom, którym ufałem i które bardzo szanowałem.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu spotkałem się z totalnym niezrozumieniem. Poczulem się jak zbity, samotny pies. *Po co to wszystko i czy starczy mi sił?* Moje przemyślenia szybko rozwiewał wiatr codziennych zmagania i obowiązków. Jednak wieczorami, gdy zapadał zmrok i nastawała cisza, jak bumerang wracało pytanie: *po co to wszystko i czy starczy mi sił?*

Szukałem pomocy u Pana Boga, poprzez codzienną modlitwę i Eucharystię, rozważając słowa Pisma św., odkrywając Jego obecność w ludziach i zdarzeniach. Ciągle jednak czegoś mi brakowało. Wkrótce miałem się przekonać, że Pan Bóg ma swoje, niekonwencjonalne odpowiedzi na moje pytania.

Tego dnia wszystko toczyło się normalnie. Był czas sjeisty. Z Luandy dotarła do seminarium jakaś oficjalna korespondencja oraz jeden, nieco większych rozmiarów, list do mnie. Planowałem krótką popołudniową drzemkę. Jednakże ciekawość wzięła górę nad snem i sięgnąłem po list z Polski. Na kopercie nie było danych nadawcy. Moje imię, nazwisko oraz adres były napisane wielkimi i krzywymi literami. Nie miałem pojęcia, kto go napisał i wysłał. Zdecydowanym szarpnięciem otworzyłem go. W środku znajdowała się biała kartka papieru, formatu A4, złożona wpół.

Rozłożyłem ją i zacząłem czytać na stojąco. List był napisany kredką koloru niebieskiego.

Usiadłem i przeczytałem cały list kilka razy z rzędu. Czytałem i czytałem, i nie mogłem uwierzyć, że list złożony z czterech zdań może w jednym mgnieniu oka tak wiele zmienić. Miałem łzy w oczach. List rozpoczynał się od słów, których tu w Angoli już dawno nie słyszałem: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. W następnym zdaniu autor listu się przedstawił: *nazywam się Maciuś, jestem z Polski i mam 5 lat*. I pisał dalej: *codziennie modlę się za Ciebie misjonarzu Henryku, aby nigdy nie zabrakło Ci siły do głoszenia ludziom w Afryce, że Bóg ich bardzo kocha*. I ostatnie zdanie: *z Panem Bogiem, pozdrawia Maciuś z babcią*.

List od chłopczyka, być może napisany z inicjatywy babci, w jednej sekundzie uświadomił mi, jak wielu ludzi troszczy się o mnie, wspierając modlitwami, składając Bogu w ofierze swoje cierpienia i smutki. Niby to wszystko w teorii wiedziałem, ale potrzebny był ten kawałek papieru z wyrysowanym dziecięcą ręką imieniem moim i Maciusia. Bóg, w sposób namacalny, pokazał, jak bardzo troszczy się o mnie, wysyłając swego anioła o imieniu Maciuś i mówiąc przez niego: to wszystko ma sens i pamiętaj, nigdy nie

zabraknie ci siły do głoszenia Ewangelii, bo Ja jestem z tobą. Wątpliwości i pytania o to wszystko, co robiłem w Angoli, które wcześniej wracały z dużą natarczywością, po prostu zniknęły.

Wieczory w N'Dalatando są chłodne. W powietrzu unoszą się smugi dymu z przydomowych palenisk, na których przygotowuje się posiłek. Gdzieś w oddali słychać bardzo słabo dochodzący głos płaczących kobiet, zapewne rozpoczęły się kilkudniowe obrzędy pogrzebowe. Nocne ptaki rozpoczęły swoje krzykliwe trele, które przerwały tylko na chwilę, gdy usłyszały kilka wystrzałów z broni maszynowej. Wieczór jak wiele innych, z tą jednak różnicą, że dzisiaj już nie powróciły jak bumerangi pytania o sens i siłę, lecz pojawiły się w sercu pokój i wdzięczność Bogu za dar Maciusiowego listu.

O. ANDRZEJ ZALEWSKI SVD

Kapłan Zgromadzenia Słowa Bożego. Misjonarz w Rosji. Posługiwał w Sankt Petersburgu i Kaliningradzie. Obecnie przebywa w werbistowskiej wspólnocie Domu Misyjnego w Kleosinie. Jest duszpasterzem grekokatolików na Podlasiu. Wytrwały poszukiwacz śladów unitów na wschodnich terenach Polski.

Oksana Tkaczenko

Wielu osobom słowo *powołanie* kojarzy się wyłącznie z kapłanami lub siostrami zakonnymi. Pracując w Rosji, zrozumiałem, że powołanie odnosi się do ludzi wezwanych do wiary w Jezusa Chrystusa. Odkrywałem to, dzięki moim parafianom i ludziom, których spotkałem na swojej drodze.

Jedną z takich osób jest Oksana. Urodziła się w Kaliningradzie i wychowywała u babci, która była zaciekle ateistką. Miałem okazję poznać ją osobiście. Wychowywała wnuczkę w duchu walczących bezbożników oraz pionierów i przodowników komunizmu. Do tego stopnia, że największym marzeniem dziecka było to, że gdy któregoś dnia rano się obudzi, to w gazetach wielkimi czerwonymi literami będzie napisane, iż komunizm zapanował na całym świecie. To było największe marzenie dziesięcioletniej dziewczynki! Babcia Oksany miała w domu bardzo dużo albumów ze zdjęciami z muzeów całego świata, ponieważ uważała się za osobę oświeconą. Polityka bolszewicka była nastawiona na krzewienie kultury, aby w taki sposób zaspokajać naturalne duchowe potrzeby ludzi. Za to wiara w Boga, w ogóle religia były zabronione. Oksana, jako mała dziewczynka, nie wiedząc dlaczego, bardzo lubiła

oglądać te albumy. Dopiero będąc dorosłą kobietą, zrozumiała, czemu godzinami wpatrywała się w te stare księgi z malowidłami. Sceny obrazów w muzeach na całym świecie mają tematykę biblijną. Okazało się, że pod surowym okiem babci komunistki beztrąsko, jak w gąbeczkę wsiąkały w dziecięce serce oblicza świętych, Pana Jezusa i Matki Bożej.

Obwód kaliningradzki, jako najbardziej ateistyczny region w ZSRR, był wielkim projektem radzieckiej władzy. Krzyżackie kirchy (kościóły) były w ruinach. Od 1945 do 1991 roku w obwodzie kaliningradzkim nie było ani jednego kościoła, ani jednej kapliczki, ani jednego krzyża. Władze zatroszczyły się też o to, żeby nie przyjechał tam żaden duchowny.

Oksana, mając dwanaście lat, po raz pierwszy opuściła Kaliningrad i poleciała na wakacje do cici do Petersburga. Tam przeżyła ogromny szok – po raz pierwszy w życiu ujrzała cerkiew. Z wielkim zaciekawieniem, chcąc zbadać, co to za miejsce, weszła do wnętrza, gdzie była świadkiem liturgii chrztu św. Bojąc się reakcji dorosłych, nikomu w domu nie powiedziała, gdzie była. Przez kilka tygodni codziennie tam biegła, żeby się napatrzeć. Pierwszy raz widziała krzyż, kapłana, ale rozpoznała postaci z ikon

i obrazów, których oblicza zapamiętała z albumów. Nie wiedziała jedynie, kim są.

Pewnego dnia namówiła koleżankę, aby poszła z nią do cerkwi. Dziewczynkom bardzo się spodobało to miejsce i po skończonej liturgii usłyszały, że codziennie o tej samej godzinie można przyjmując chrzest. Powiedziano im, że trzeba za to zapłacić dwanaście rubli. Oksana i jej koleżanka nie miały tyle pieniędzy, więc postanowiły tego samego dnia pójść do jednej z petersburskich restauracji na zmywak, aby je zarobić. Za swoją pracę dziewczynki dostały po piętnaście rubli. Oksana wspomina, że niosła te ruble jak olimpijczyk niesie pochodnię. Po drodze do cerkwi, jak to dzieci, kupiły sobie oranżadę i lody, i jeszcze im zostało dwanaście rubli i trzy kopiejki. Oksana zapłaciła za chrzest i grzecznie czekała z koleżanką i innymi ludźmi na wyznaczoną godzinę. Gdy przyszedł kapłan, pomodlił się nad nimi i ochrzcił. Oksana nic nie rozumiała z tego, ale pamięta, że czuła się tak, jakby była najszcześliwszym dzieckiem na świecie. Po chrzcie kapłan powiedział, żeby na drugi dzień o 7.00 przyjść na liturgię i przyjąć komunię św. (w Cerkwi prawosławnej przystępuje się do komunii tuż po chrzcie i nie jest to opatrzone żadnym rytem).

Koleżanka nie chciała rano wstawać, więc Oksana poszła sama w wielkiej tajemnicy przed wszystkimi, wymyślając dla cioci jakies wytłumaczenie.

Dwunastoletnia dziewczynka, niezamierzenie ewangelizowana we własnym domu albumami z obrazami przedstawiającymi ostatnią wieczerzę i Jezusa na krzyżu, przyjmuje z wielkim drżeniem Ciało i Krew Pańską przy jednoczesnej niezajomości ani jednej modlitwy. Za trzy kopiejki, które jej pozostały, w cerkiewnym sklepiku kupiła malutki kartonik, na którym było napisane osiem błogosławieństw. Ma to jej wystarczyć na kolejne dwadzieścia lat życia. Będzie to jej jedyna modlitwa, którą zna i którą się modli, aż do upadku ZSRR, napływu kapłanów i przybycia organizacji wyznaniowych do Kaliningradu. Oksana od dawna nosiła w sercu pragnienie bycia w jakiejś grupie religijnej. Po wielu przejściach i poszukiwaniach, już jako dorosła kobieta, znalazła swoje miejsce we wspólnocie Kościoła katolickiego.

Jej historia, a także wielu innych osób, jest dla mnie dowodem na to, że człowiek wierzący potrzebuje wyrażać swoją miłość do Boga i ludzi, potrzebuje wspólnoty religijnej, w której będzie przeżywać swoją wiarę.

Co dwa tygodnie odprowadzam mszę św. w Zalesiu, niewielkiej wiosce, gdzie mamy drewniany kościółek pod wezwaniem Matki Bożej Trzykroć Przedziwnej. Uczęszczają do niego trzy kobiety z tej wioski. Po drodze zajeżdżam samochodem do Olhowki i Krasnego Jaru, skąd zabieram dwie inne parafianki.

W Olhowce mieszka pani Weronika. Ma ona w przydomowym ogródku kapliczkę Matki Bożej. Zazwyczaj przyjeżdżam po nią o godzinie 10.15, ale tym razem dotarłem do niej wcześniej. Pani Weronika poprosiła mnie, abym pomógł jej zdobyć odbiornik radiowy z możliwością słuchania kaset magnetofonowych. Na szczęście siostra Maksymiliana miała magnetofon i z radością go oddała. Starsza pani była szczęśliwa, że będzie mogła słuchać Pisma św., nagranych na kasetach. Pani Weronika to człowiek ciężkiej pracy. Niedaleko domu ma ogród, w którym pracuje. Ma również krowę i cielaka. Kiedy pracuje na polu, podłącza do radia przedłużacz i podczas pracy słucha Pisma św. Sześć razy przeczytała je w całości. A teraz, nie mogąc czytać, słucha. Korzystając z tego, że trochę wcześniej do niej zajechałem, wyjaśniam, jak obsługiwać magnetofon.

Wtem podszedł do mnie sześciolatekni chłopiec o imieniu Nikita. To syn sąsiadki pani Weroniki, która opiekuje się nim pod nieobecność matki. Chłopczyk pierwszy raz w życiu widział księdza i w pierwszych słowach skierował do mnie pytanie, czy go ochrzczę. Odpowiedziałem mu, że z wielką radością, ale co na to jego rodzice. Ten mały dzieciak odpowiedział mi, śmiertelnie poważnie, że mama nie pozwala mu się ochrzcić. Potem sam kontaktowałem się z jego mamą, która kategorycznie zabroniła sakramentu. Nikita zapytał również, czy może z babcią pojechać do kościoła, bo jeszcze nigdy nie był w świątyni.

Gdy jechaliśmy w samochodzie, mały Nikita, myśląc, że jednak za chwilę otrzyma chrzest, zwrócił się do babci: „Baba Weronika, ale o chrzcie nie powiemy mamie. Czy będę mógł zdjąć krzyżyk, aby go mama nie zobaczyła i się nie zdenerwowała?”. W Rosji, podczas chrztu, dostaje się krzyżyk na szyję. W tym momencie zjechałem na pobocze, musiałem na chwilę się zatrzymać, by dojść do siebie. Nie chciałem, żeby chłopak widział moje łzy. To z bezsilności – dziecko ma świadomość i pragnienie sakramentu, a ja nie mogę mu go udzielić!

Najsmutniejszy pogrzeb

Pewnego razu przyjechało do mnie małżeństwo z wioski w obwodzie kaliningradzkim w Rosji, w której byli jedynymi wierzącymi. Prosimi, abym pochował starą sąsiadkę, która modliła się i być może też była wierząca. Ostrzegli, że tamtejsi mieszkańcy prawdopodobnie nigdy nie widzieli księdza. Rzeczywiście byłem tam sensacją – kiedy szedłem w błocie do kostek w kierunku chaty, ludzie wychodzili z domów, aby na mnie popatrzeć, a dzieci biegły, krzycząc za mną: „batiuszka (pot. ksiądz prawosławny) przyjechał”.

To był mój pierwszy pogrzeb na rosyjskiej ziemi. Na podwórzu, na dwóch starych taboretach, stała trumna. Naokoło dużo ludzi, w tym starszych kobiet, które patrzyły na mnie z wielkim niezadowoleniem. Okazało się, że to właśnie one odprowadzają zmarłych w ostatnią drogę. Rozpocząłem modlitwę. Przez kilka minut zebrani zachowywali względny spokój, przyglądając mi się z ciekawością, gdy nagle rozległ się krzyk kobiet: „Nie tak się chowa ludzi!!! Trzeba najpierw rozwiązać nogi!!!”. Oszołomiony patrzyłem na taki obraz: kilka kroków ode mnie mężczyźni, którzy mieli nieść trumnę, stoją w brudnych gumiakach,

pałac papierosy i głośno dyskutując. Kobiety krzyczą, chcąc przeprowadzać swoje zabobony, pozostali głośno rozmawiają...

To był dla mnie wstrząs. W jednej sekundzie przeleciała mi przez głowę refleksja: jak wyzuty jest z godności człowiek, kiedy nie ma w sercu prawdziwej wiary w Boga, tylko gusła i przesady. W tych ułamkach sekund przypomniałem sobie, jak wyglądają cmentarze i pogrzeb w Polsce. Grabarze w garniturach i białych rękawiczkach zsuwają trumnę do grobu, ludzie z kwiatami i zniczami stoją nad zmarłym, za którego ofiarowali komunię świętą. Na usta cisnęły się słowa: szacunek, zaduma, modlitwa.

Jak tragiczny musi być los ludzkiej duszy, za którą nikt się nie modli, nad której trumną ludzie zamiast odmawiać pacierze, rozlewają wódkę do kieliszków. Tam, gdzie nie ma wiary, nie ma szacunku dla umarłych. Dusze, o których pamiętamy, za które się modlimy, dziękują nam za pamięć, za czyste pomniki i znicze, ale przede wszystkim są wdzięczne nam za krzyże nad ich grobami i modlitwę, której tak bardzo potrzebują.

Z dala od cywilizacji

Pewnego razu odwiedzaliśmy z s. Stellą naszych parafian. Wyruszyliśmy do rodziny, której dawno nikt nie odwiedzał. Okazało się, że mieszkają daleko i zazwyczaj brakuje czasu, aby tam pojechać. Tym razem jednak wszystko ułożyło się tak, że pojechaliśmy do Kalinowki. I Bogu chwała za to. To, co tam zobaczyłem, było dla mnie wielkim zaskoczeniem. Myślałem, że jedziemy do kolejnej babuszki (pot. na terenach wschodnich babcia, starsza kobieta). A tam... 23-letnia mama z trojgiem dzieci. Dzieciaczki bardzo się ucieszyły na nasz widok. Pani Wiera mieszka z mężem daleko od cywilizacji, dookoła tylko pola, pola, pola. Mają dwie córeczki – sześćioletnią Aldonkę i trzyletnią Saszkę oraz półrocznego synka Wadima.

Rodzina przyjechała w 1993 roku z Kazachstanu do obwodu kaliningradzkiego i byli tak ubodzy, że mieszkali na ulicy. Wtedy zaopiekował się nimi człowiek, na którego wspomnienie pani Wiera reaguje łzami. Był to werbista z Niemiec, o. Johannes Meinke. To dzięki niemu rodzina pani Wiery ma dzisiaj dach nad głową, a ona jest ochrzczona i jest katoliczką. Pomodliliśmy się, poświęciłem wodę i pokropiłem dom. Bardzo się cieszyłem z tego spotkania.

Lubow

Nie miałem samochodu, więc z przyjemnością pojechałem transportem miejskim do Znamieńska. Lubię jeździć autobusami i pociągami, bo wtedy można zobaczyć i usłyszeć Rosjan w ich naturalnym środowisku, posłuchać, o czym rozmawiają, jak się odnoszą do siebie nawzajem. Jak myślicie, ile ludzi może wejść do 20-osobowej marszrutki (busika)? Ja już wiem – dosyć dużo. Jak siedzisz, to jeszcze, jeszcze, ale jak stoisz, to też z każdej strony jest podpora, tak że upaść nie jesteś w stanie. Najgorzej jak ktoś przypomni sobie, że musi wysiąść. To dopiero zaczyna się przepychanie, a do tego ta wysiadająca osoba ma ze sobą dwie pełne torby.

Przyjechałem do Znamieńska, gdzie katolicy mają swój kościół, ale kiedyś spotykali się w mieszkaniu, które do dziś służy jako miejsce spotkań. Czekałem na dzieci, które miały przyjść na katechezę. Przyszła tylko jedna dziewczynka. O godzinie 17.00 poszedłem do świątyni, gdzie o 18.00 miałem poprowadzić drogę krzyżową. Wszedłem do środka, a tam modli się pani Lubow. Przywitałem się z nią i zaczęliśmy rozmawiać. Powiedziała, że paradoksem jest to, że ona dziś siedzi w tym kościele i się modli, ponieważ w tym budynku

przez wiele lat znajdowały się sale do zajęć ręcznych należące do pobliskiej szkoły. To tu uczyła dzieci, że Boga nie ma, że religia to opium dla ludu. Ze łzami w oczach mówiła, że uczyła tak dzieci przez trzydzieści lat swojego życia jako nauczycielka.

W niedziele i soboty siedziała przed cerkwiami i spisywała nazwiska dzieci, które przychodziły tam z rodzicami. Te listy zanosila do szkoły, gdzie na apelach te dzieci były publicznie upokarzane, pokazywane palcami. „Ale na szczęście Bóg wiedział, że to nie moje miejsce i że to nie byłam ja”. Po pracy miała straszne uczucie niezadowolenia z siebie i z tego, co robi. Żyła tak przez czterdzieści lat, więc postanowiła, że w ciągu kolejnych czterdziestu będzie przepraszać Boga za to, co robiła. „Było mi bardzo ciężko, szczególnie pod koniec pracy, kiedy już odnalazłam wiarę w Boga. To był czas, gdy w szkole było bardzo trudno mówić co innego, myśleć co innego i robić co innego”. To doprowadziło ją na skraj załamania. Tylko dzięki Bogu, jak twierdzi, wybrnęła.

Nadszedł taki czas, że nawet w Rosji można było rozmawiać o Bogu i to nie tylko negatywnie, ale zaczęły się również pojawiać nieliczne cerkwie, wspólnoty protestanckie i przeróżne sekty. W miejscowości, gdzie mieszkała pani Lubow, była tylko wspólnota

baptystów, więc od czasu do czasu chodziła na ich spotkania. Podobało jej się bardzo, ponieważ po raz pierwszy ktoś dobrze mówił jej o Panu Bogu. Po przeprowadzce do innego miasta spotkała wspólnotę luterzańską, do której się przyłączyła i w której przyjęła chrzest, mając czterdzieści siedem lat. Całkiem niedawno przeprowadziła się do Znamieńska, gdzie również od niedawna jest wspólnota katolicka.

Pani Lubow mówi, że kiedy weszła do tego kościoła, w którym wcześniej były klasy szkoły, gdzie uczyła dzieci, i usłyszała kapłana i uczestniczyła we mszy, poczuła wewnętrznie, że odnalazła to, czego szukała od chwili nawrócenia. Mówi, że wszędzie jej było dobrze, i u baptystów, i u luteranów, ale dopiero w Kościele katolickim odnalazła wszystko.

Prawdą jest to, że tam, gdzie nie ma wiary w Boga, pojawia się wiara w magię i gusła. Przekonałem się o tym niejednokrotnie, pracując w Rosji w obwodzie kaliningradzkim.

Niedziela to dzień Pański, troszczymy się więc o to, aby wszyscy chrześcijanie mogli uczestniczyć we mszy św. Tych zaś, którzy z powodu wieku nie mogą przyjść do kościoła, staramy się odwiedzić z Panem Jezusem. Dziś s. Stella zawiozła mnie do naszej parafianki, 90-letniej pani Katarzyny, gdzie czekała nas niespodzianka. Siostra uprzedziła mnie wcześniej, że pani Kasia to jak najbardziej osoba wierząca, ale jej dzieci to już raczej nie. Gdy wchodziliśmy do domu pani Kasi, jeden z jej synów zatarasował nam drogę i powiedział, że on zakazuje nam wejść do domu, ponieważ jego matka jest chora i gości nie przyjmuje. Nagle podeszła też do nas kobieta, która kategorycznie zażądała, abyśmy odjechali. Postraszyła nas chorobami i wirusami panującymi w ich domu. Widząc takie reakcje i niechęć dzieci pani Katarzyny, powiedziałem, że jeżeli nasza parafianka jest chora, to mam obowiązek udzielić jej komunii świętej i pomodlić się o jej zdrowie.

Wówczas wyszedł jeszcze jeden syn pani Katarzyny, który próbował uspokoić sytuację. Kobieta (synowa pani Kasi) ponownie postraszyła nas chorobami i nie chciała nas wpuścić. Ja na to odpowiedziałem, że nie boję się chorób, które są w tym domu. Po chwilowej pertraktacji pozwolili mi wejść do pokoju pani Kasi i udzielić jej komunii. Siostry jednak nie wpuścili. Po chwili okazało się, w czym tak naprawdę jest problem. Jeden z synów pani Kasi jest deputowanym i do tego jeszcze wykłada na uniwersytecie. Sąsiedzi zauważyli, że do ich domu przyjeżdża ksiądz z siostrą, i zaczęli tej rodzinie robić wyrzuty, że deputowany wierzy w Pana Boga, przecież to skandal. Ja na to rzekłem, że czasy komunizmu już dawno przeminęły. Ale to nie pomogło.

W drodze powrotnej siostra opowiedziała mi, co się jej przydarzyło z rodziną pani Kasi. Kiedyś przyjechała odwiedzić naszą parafiankę, u której był prawnuczek. Synowa zakazała siostrze patrzeć na dziecko, bo uważała, że rzuci na niego jakiś urok. Po pewnym czasie siostra dowiedziała się, że kobieta oskarżyła ją o magię, gdyż przez nią wszyscy w domu teraz chorują. Ludzie, którzy nie wierzą w Boga, wierzą w magię, w czary, w ekstrasensów (po rosyjsku to ktoś podający się za osobę mającą zdolności paranormalne,

najczęściej zajmujący się czarną magią, może to być osoba opętana). To jest przykre. Siostra powiedziała mi, że to, co dziś nam się przytrafiło, nie będzie ostatni raz. Ona pracuje tu od dwudziestu lat i wiele razy spotkała się z tym, że niewierzące dzieci nie chcą dopuścić do swoich starych rodziców księdza czy też siostry.

Siostra miała rację, co rusz natrafiałem na tego typu sytuacje. Pewnego dnia zadzwoniono do mnie z domu starców w Polessku z informacją, że przebywa u nich umierająca już katoliczka i chcą, abym przyjechał, bo tak prosiła ich pacjentka. Pojechałem do tego domu starców pomodlić się nad umierającą kobietą, udzieliłem sakramentu chorych i odjechałem.

I stał się cud – kobieta wyzdrowiała. Po pewnym czasie, kiedy chciałem ją odwiedzić, personel nie wpuścił mnie do środka. Tłumaczyli, że boją się ekstrasensów. Wyjaśniłem, że jestem kapłanem. Na co oni odpowiedzieli, że wyleczyłem umierającą kobietę i teraz się mnie boją. Siostra Stella kilka razy próbowała rozmawiać z dyrekcją, ale wszyscy się bali.

Daj mi uwierzyć w Ciebie

Pani Gala urodziła się w Kazachstanie, dziś mieszka w Gwardiejsku w obwodzie Kaliningradzkim. Z całej swojej rodziny jest jedyną wierzącą osobą. Dziadkowie, rodzice, rodzeństwo byli i nadal są niewierzący. Usprawiedliwia ich poniekąd, ponieważ takie były wtedy czasy, że nawet niebezpiecznie było wierzyć w Boga.

Kiedy była małym dzieckiem, mając pięć lat, pytała swojej mamy, dlaczego oni żyją na świecie, dlaczego ludzie umierają, jaki cel ma jej życie. Matka w takich momentach odpychała ją, mówiąc, że nie ma czasu na głupoty. Pani Gala mówi, że do trzydziestego roku życia nie słyszała słowa „Bóg”, nie wiedziała, że nawet ono istnieje. Nikt nigdy nie wypowiedział przy niej tego słowa. W dorosłym już życiu wewnątrznie uznała, że musi coś być, że musi być ktoś, kto stworzył ten świat, przy czym, jak podkreśla, nie słyszała o tym, że są na świecie ludzie, którzy wierzą w Boga, do wszystkiego dochodziła sama.

Kiedyś przypadkiem znalazła bardzo starą gazetę, jeszcze sprzed rewolucji, i tam znalazła modlitwę optyńskich starców, wyrwała ją z tej gazety

i ukrywała przed wszystkimi. Czytała ją każdego dnia po kilka razy. Cieszyła się bardzo, kiedy odnalazła wierzącą *babuszkę*, która przepisała jej inne modlitwy i nauczyła robić znak krzyża. Nikt jednak nie mógł wiedzieć, że ona się modli, więc zawsze robiła to po kryjomu. Ale po pewnym czasie ludzie zauważyli bijące od niej dziwne światło, jakby chodziła w promieniach. Zaczęto ją przezywać i pokazywać palcami, że wierzy w Boga. Wstydziła się tego bardzo, ale to doprowadziło do tego, że pewnego razu w sercu powiedziała: „Boże, jeżeli Ty naprawdę jesteś, nie daj mi wątpić w Ciebie, ja chcę wierzyć w Ciebie, chcę wierzyć, że to Ty stworzyłeś świat. Daj mi uwierzyć w Ciebie”.

Po śmierci Stalina nastąpiła odwilż i od czasu do czasu ktoś rozrzucał kartki z artykułami o Jezusie, o Bogu, o Maryi i na inne religijne tematy. W tamtym czasie pani Gala, jak sama mówi, była przeszczęśliwa, ponieważ to co w sercu nie dawało jej spokoju, teraz potwierdzało, że jednak nie tylko ona wierzy w Boga. Czytała o Bogu wszystko, co było w tym czasie dostępne. W telewizji zaczęły się pojawiać programy, w których występowali kapłani.

Już jako dorosła kobieta z dwojgiem dzieci poszła do cerkwi i poprosiła o chrzest dla siebie i swoich pociech. Pani Gala dzisiaj należy do parafii

katolickiej i przygotowuje się do pierwszej spowiedzi i komunii św. Wielką łaską, jak sama mówi, była dla niej pielgrzymka do Jerozolimy. Pamięta, że od dziecka powtarzała sobie, iż tylko głupcy mogą uważać, że nie ma Boga. Wtedy ja powiedziałem jej, że właśnie tak jest napisane w Piśmie św., a ona doszła do tego sama, własnym rozumem. Wiara w Boga to łaska. Kiedy słuchałem tego, co mówiła pani Gala, łzy cisnęły mi się do oczu.

Jak dzieci

Niedziela Palmowa. Uroczyste msze św. w Znamieńsku i w Polessku. Wspaniale jest to, że tutejsi ludzie przeżywają wszystko pierwszy raz – pierwszy raz w życiu biorą udział w procesji z gałazkami, pierwszy raz słuchają Męki Pańskiej. Na ich twarzach widać wielkie przejęcie. Oni bardzo chcą wiedzieć, jak mają się zachować na mszy, kiedy przyklęknąć, kiedy wstać. Są jak dzieci, patrzą na ciebie i robią wszystko tak jak ty. Ksiądz rozkłada ręce, oni też, myśląc, że tak należy, ksiądz podnosi ręce – oni podnoszą ręce, ksiądz przyklęka – oni przyklękają, ksiądz błogosławi – oni błogosławią... Jednak nie ma się czemu dziwić, siedemdziesiąt lat nie było tu ani kościoła, ani kapłana. Ludzie spotykali się po kryjomu w mieszkaniach, żeby się modlić.

Przy okazji świętowania nie obyło się bez odwiedzin u parafian. Pani Ała ma męża bez nóg, który jest prawosławny, ale kilka razy dziennie modli się za wszystkich katolików. Pan Włodzimierz był bardzo szczęśliwy, gdy do nich zaszedłem. Pani Ała, kiedy była młoda, była zawziętą komunistką, nie wierzyła w Boga. W jej pokoju, gdy mieszkała jeszcze u mamy, wisiały dwie piękne starodawne ikony.

Pewnego razu przyszedł do niej deputowany i nakazał ich się pozbyć, co też zrobiła. Wrzuciła je do pieca i spaliła. Wtedy jej matka powiedziała słowa, które brzmią w niej do dziś: „Bądź przeklęta, ty komunistko, i twój komunizm”. Te słowa nie dawały jej spokoju.

Po wielu już latach, całkiem niedawno, przyszła do kościoła i wyznała wiarę w Jezusa. Pani Ała ma ponad siedemdziesiąt lat i w zeszłym roku zawarła sakrament małżeństwa ze swoim mężem i dumnie pokazuje obrączkę na swoim palcu. Dzięki temu może się spowiadać i przyjmować Jezusa do serca. To jej wielka radość. Jednak ma łzy w oczach, kiedy przypomina sobie, co zrobiła z Jezusem i Maryją, a także słowa matki, które wryły się mocno w jej pamięć.

O. ALOJZY SZCZEPONEK SVD

Werbista, misjonarz Zgromadzenia Słowa Bożego, 31 lat posługiwał na misjach w Zairze (dziś Demokratyczna Republika Konga). W latach 2020–2021 pracował w parafii w Kleosinie. Obecnie służy współbraciom jako ekonom domowy w Górnej Grupie. Jest to jedyne takie miejsce w Polsce, gdzie chorzy werbiści, ich rodzice oraz byli pracownicy naszych domów otrzymują profesjonalną opiekę medyczną.

Opatrzność Boża

Początek lutego 1997 roku. Opuszczam na ponad miesiąc parafię św. Józefa w Dekese w diecezji Kole położonej w centrum ówczesnego Zairu (dziś Demokratyczna Republika Konga). Jest to jedna z największych tu parafii – ma około dwustu sześćdziesięciu kilometrów długości i sto czterdzieści kilometrów szerokości. Na misjach, szczególnie przy tak dużych odległościach, każda wyprawa jest wyzwaniem, gdyż wiąże się często z wieloma niespodziankami czy niebezpieczeństwami. Tym razem też było realne zagrożenie. Codziennie słuchałem wiadomości w radiu (BBC, RFI, Głos Ameryki), gdyż od sześciu miesięcy rebelianci od wschodu kraju – granicy z Rwandą i Ugandą – zaczęli przemieszczać się w kierunku stolicy Kinszasy, by obalić ówczesny rząd. Mieli do pokonania około dwóch tysięcy pięciuset kilometrów, w większości pieszo.

Wiedziałem, że sytuacja polityczna jest niebezpieczna, ale jak mówi św. Paweł: „Biada mi, gdybym nie głosił Ewangelii” (1 Kor 9,16c). Jestem przecież werbistą – misjonarzem ze Zgromadzenia Słowa Bożego! Miałem przeprowadzić wraz z jednym animatorem pastoralnym kilka sesji biblijnych w dwóch parafiach:

w Lomela – parafia św. Pawła i w Vango – parafia św. Józefa, oddalonych od Dekese o jakieś czterysta kilometrów. Miałem do dyspozycji motocykl terenowy Yamaha, a w wielu miejscach poruszać się musiałem ścieżką, czasami przypominającą trasy motokrosu.

Był początek krótkiej pory suchej, sobotnie popołudnie, a w sobotę choćby przez chwilę świeci słońce w Afryce. Tak było i tym razem. Wyjechałem przy pięknie świecącym słońcu. Śpiewałem znaną mi z pielgrzymek w Polsce piosenkę: „Jak wielka i szeroka ziemia, jak wielki i maleńki człowiek, niech się pochyla nisko głowy, niech się pokłonią drzew korony. Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi Świętemu ponad czasem i przestrzenią...”. Droga w wielu miejscach zarośnięta była wysoką trawą. Wysłałem wcześniej katechetę, by „przetarł” drogę na kilku trudnych odcinkach.

W ciągu dnia miałem pokonać niemal sto kilometrów. Około 18.00, tuż przed zachodem słońca, dojechałem do wioski Dija. Jednak nie bez przeszkód. W jednym miejscu jakiś człowiek zatarasował mi drogę cierniami. Musiałem użyć maczety, by je usunąć i móc dalej jechać.

Zostałem gorąco przyjęty przez tamtejszego katechetę Zachariasza oraz kilku chrześcijan.

Spędziłem tam noc. Rano odprawiłem mszę św. i pojechałem dalej. Zatrzymałem się w parafii św. Teresy od Dzieciątka Jezus w Dumba, gdzie wcześniej pracowałem ponad trzy lata. Parafianie bardzo gorąco mnie przyjęli. To moje pierwsze odwiedziny po pięciu latach od jej opuszczenia. Odprawiłem tam mszę św., były jeszcze długie rozmowy, pytania i w końcu po 13.00 opuściłem tę bardzo gościnną parafię.

Opady deszczu oraz miejscami bardzo śliska droga sprawiły, że musiałem szukać noclegu wcześniej, gdyż szybko zapadała równikowa noc. Zatrzymałem się u katechety w Bolendo, skąd miałem jeszcze do przejechania około stu osiemdziesięciu kilometrów, od tej pory już lasem równikowym.

Tym razem też nie dojechałem do celu podróży, nocowałem w Odila – dużej wiosce i centrum pastoralnym. Tam już droga była dobra, ludzie bardziej pracowici. Wycinano nawet duże drzewa leżące na drodze, by ciężarówki mogły tam dojechać i zabrać ich produkty rolne: maniok, kukurydzę, ryż, orzeszki ziemne, banany. Pamiętam, że dwóch młodych ludzi pomogło mi przenieść motocykl przez duże drzewo, po czym zażądali zapłaty. Podziękowałem im i dodałem, że jeśli nawet za drobną pomoc będą żądać zapłaty, to kiedyś

Pan Bóg też zażąda od nich zapłaty przed przyjęciem ich do Jego Królestwa... i odjechałem.

Dopiero czwartego dnia przybyłem do celu podróży – parafii św. Józefa w Vango. Mieliliśmy w programie trzy sesje z Pisma św.: dla katechetów, animatorów, dla kobiet i dla młodzieży. Obszar parafii to las równikowy, nie ma tam praktycznie pory suchej; deszcz pada prawie przez cały rok. Wielkie było zainteresowanie i liczny udział w każdej z tych sesji, które trwały od trzech do pięciu dni. Uczestniczyło w nich po kilkadziesiąt osób; przybywali oni z odległych czasem wiosek. Niektórzy przyjechali rowerem, ale większość przyszła pieszo. Musieli oni zapewnić sobie nocleg i wyżywienie. W tym regionie nie było i dotąd nie ma prądu, więc trzeba było kończyć wykład przed 18.00, zanim zapadnie zmrok. W całym kraju tylko około dwudziestu pięciu procent ludności ma dostęp do energii elektrycznej pochodzącej z dużych elektrowni. Wieczorem uczestnicy sesji, chcąc oglądać film, musieli zapłacić mieszkającym tam siostrom zakonnym za paliwo, gdyż one miały agregat prądotwórczy. Byłem bardzo zaskoczony, gdy w czasie sesji dla kobiet zatytułowanej „Kobieta w Piśmie św.”, była wyznaczona sekretarka notująca wykłady, które prowadziłem razem z animatorem pastoralnym.

Później mieliśmy jeszcze trzy sesje w parafii św. Pawła w Lomela. Też wielu uczestników: katechetów, kobiet, młodzieży. Prosilili oni o Pismo św. Starego i Nowego Testamentu, ale z powodu odległości i złego stanu dróg w tym czasie nie mogłem im dostarczyć. Był przewidziany także wyjazd do trzeciej parafii – Elingampangu, kolejne dwieście kilometrów drogi. Ponieważ nie znałem drogi, miał przyjechać po mnie ktoś na motocyklu. Zakończyliśmy sesje w parafii Lomela, a oczekiwany motocyklista nie przyjechał w umówionym dniu, więc wraz z animatorem Waynkanga Bentoto wyruszyliśmy w drogę powrotną. Po drodze zajechałem do Kole – siedziby biskupa, by zakupić trochę lekarstw, aby w ten sposób choć nieco pomóc członkom naszych wspólnot.

Wróciłem do naszej misji w Dekese 13 marca, dziękując Miłosiernemu Bogu za Jego ochronę podczas tej długiej i czasami niebezpiecznej drogi – około tysiąca kilometrów. Wkrótce dowiedziałem się, że motocyklista, na którego czekaliśmy, przyjechał do Lomela dwa dni później. Okazało się, że miał wielkie problemy ze zwiadowcami rebeliantów, którzy byli już niedaleko tamtej parafii.

Poczułem wtedy dotyk Opatrzności Bożej... Gdybym ja był razem z tym motocyklistą, to jako

cudzoziemiec mógłbym zostać wzięty w charakterze zakładnika albo nawet stracić życie. Mogłem wówczas powtarzać za Maryją: „Wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny, Święte jest Jego imię – a swoje miłosierdzie na pokolenia i pokolenia zachowuje dla tych, co się Go boją” (Łk 1,49–50).

Uświadomiłem sobie dobitnie kolejny raz, że dobrze jest wsłuchiwać się w głos Boga, Jemu ufać i być Jemu całkowicie oddanym, gdyż On troszczy się o każdego z nas i pragnie dobra dla wszystkich, którzy w Nim pokładają nadzieję i Jemu ufają.

Był to szósty rok mojej pracy misyjnej w buszu w ówczesnym Zairze. W tym czasie diecezja Kole liczyła około dziesięciu procent katolików, a pierwsi misjonarze z Dobrą Nowiną dotarli tam dopiero w 1932 roku. Wróciłem właśnie ze studium biblijnego w Paryżu, gdy po kilku miesiącach wiara moja i moich współpracowników została wystawiona na próbę. Był rok 1995.

W mentalności wielu Afrykańczyków choroba, cierpienie czy śmierć muszą mieć swoją przyczynę, a jest nią człowiek. Przez to najczęściej cierpią niewinni ludzie, często dzieci czy osoby słabsze. Są one posądżane o rzucanie czarów, przez które spada na daną osobę nieszczęście.

Pewnego dnia komisarz tamtejszego regionu Dekese, któremu podlegało około osiemdziesięciu wiosek, poczuł się bardzo źle. Diagnoza – guz na mózgu. W tamtejszym szpitalu była lekarka, siostra zakonna, która dołożyła wszelkich starań, aby mu pomóc, lecz stan jego zdrowia się nie poprawiał. Starszyzna wioskowa doradziła mu przywołanie szamana (czarownika), by mu pomógł. Wysłał więc swoich ludzi do regionu równika – około trzysta

kilometrów pieszo – by sprowadzili mu dobrego szamana. Po krótkim czasie przybył do Dekese, otoczony dość licznym orszakiem, młody 27-letni szaman Krzysztof. Paradoksalnie jego imię etymologicznie znaczy ‘noszący Chrystusa’. W tym orszaku był prowadzony jako „zakładnik” zastępca konserwatora Parku Narodowego Salonga Sud, o którym szaman wiedział, że jest człowiekiem dość zamożnym. Szaman ten wraz ze swoją świtą ulokował się około dwustu metrów od naszej misji – kościoła parafialnego. Oddzielał go od nas maleńki pas lasu.

Zaraz po przybyciu rozpoczął on swoje nocne seanse. Posyłał swoich wysłanników do wielu wiosek, by przyprowadzili mu winnych czyjegoś nieszczęścia czy śmierci. Wszyscy oni musieli przynieść mu haracz – często w naturze: kury, kozy, płótna, strzelby, maczety. Inspektorowi szkolnictwa zabrał nawet motocykl, który był wtedy rzadkością, zamienił go później na strzelbę i inne wartościowe przedmioty. W trójkę poszliśmy do niego, by „uwolnić” z jego rąk zastępcę konserwatora parku narodowego, ale bezskutecznie. Obrzucono nas nawet drobnymi kamieniami. Kobiety były przez niego poniżane, niektóre musiały się rozbierać, a on je „badał”, sprawdzał ich „winy”.

Ten szaman był w Dekese miesiąc. Niestety wielu ludzi, również katolików, przychodziło rano na modlitwy i mszę św. do kościoła, a wieczorem czy w nocy do niego. Pan Jezus powiedział: „Żaden sługa nie może dwom panom służyć. Gdyż albo jednego będzie nienawidził, a drugiego miłował, albo z tamtym będzie trzymał, a tym wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i mamonie” (Łk 16,13).

Za radą jednej siostry zakonnej po kilku dniach – było to w niedzielę – przerwaliśmy mszę św. w trzech miejscach: w głównym kościele i w dwóch dużych kaplicach. Przez tydzień nie było tam nabożeństw ani mszy św. w kościele. Dla wielu tamtejszych katolików było to jak otrzeźwienie... Po tygodniu po uroczystym akcie pokuty ze strony mężczyzn, kobiet i młodzieży wznowiliśmy odprawianie mszy św. i nabożeństw.

Wkrótce po tym kobiety poszły w delegacji do tego komisarza i domagały się, żeby szaman opuścił Dekese. Po kilku dniach odszedł z tej miejscowości. Niestety uczynił wiele spustoszenia szczególnie duchowego. Jeden człowiek zatrzymany przez niego, zmarł i nie było z tego powodu żadnego problemu ani żadnych konsekwencji. Stan zdrowia komisarza się nie poprawił, a szaman, opuszczając Dekese, dobrze się „obłowił” cennymi rzeczami, które każdy wezwany

przez niego musiał mu dać. W drodze powrotnej wziął jeszcze zakładników m.in. żonę naszego katechety, która mu później uciekła. W jednej wiosce naszej parafii podpalił niewykończony dom. Zrobiłem sobie zdjęcie przed tym domem, ale nikt oprócz mnie nie ustawił się do fotografii (z obawy przed nieszczęściem, zemstą...).

Tamtejsi ludzie rozróżniają białą i czarną magię. Szamanowi przypisywali czarną magię, a nam, kapłanom, białą. Jeden raz – jeszcze podczas pobytu tego szamana w Dekese – do zakrystii kościoła wśliznęła się zmija, co czasami się zdarzało. Dla wielu jednak ludzi był to znak, że to czarownik ją tam wysłał, by ukradła kielich – moc i siłę kapłanów. Jak się okazało, żaden kielich nam nie zniknął, a zmija zdążyła uciec. Na pytanie, jaką mocą wykonują oni te zaklęcia, czary, najczęściej padała odpowiedź, że mocą szatana.

Dla Boga nie ma nic niemożliwego, On ze zła potrafi wydobyć dobro. I tak też było po opuszczeniu Dekese przez tego szamana. Po kilku tygodniach wielu ludzi, nie tylko katolików czy chrześcijan, pozbywało się fetyszy, amuletów mających chronić ich przed chorobami, nieszczęściami czy śmiercią. Niektórzy jednak uciekali z nimi, chowając je w lesie bądź na sawannie.

W niektórych wioskach były nawet domki pełne fetyszy, chroniących przed nieszczęściami amuletów mieszkańców. Proszono nas o pokropienie tego wszystkiego wodą święconą i dotknięcie. Gdy widziano, że nic się nam nie stało, wówczas wszystko to zabierano i spalano na skraju wioski. Było to dla mnie wielkie duchowe oczyszczenie, którego dokonywał Bóg, jak również przejaw Jego Miłosierdzia. Nie dziwiłem się zbyt ich jeszcze słabej wierze, gdyż ewangelizacja w tym regionie trwała dopiero nieco ponad pół wieku.

W czasie kolejnych wizyt duszpasterskich w tych wioskach pytałem, w jakiego Boga wierzymy? Bezsilnego, słabego czy też w Boga Wszechmogącego, jak to wyznajemy w Credo. To On stworzył wszystko, cały wszechświat, również aniołów, których część się zbuntowała i ich nazywamy złymi duchami, które kuszą ludzi, ale nie mogą ich zabić. Jeśli jednak trwamy w łączności z Bogiem poprzez modlitwę, czytanie czy słuchanie Słowa Bożego i sakramenty święte, to Pan Bóg daje nam siłę do przewycięzania pokus i trudności.

W jednej wiosce Ila – w Parku Narodowym Salonga Sud, około stu czterdziestu kilometrów od głównej misji Dekese – w czasie wyrzucania,

pozbywania się tych fetyszy, jeden mieszkaniec miał zawieszony pod swoim dachem fetysz mający chronić jego dom przed piorunami. Podobnie jak uczynili inni, on też go zabrał i spalił poza wioską, oczywiście po pokropieniu wodą święconą. W krótkim czasie po naszym powrocie do wioski, gdy siedzieliśmy razem z innymi mieszkańcami obok jednego domu, było słycać „suche”, głośne odgłosy piorunów, a nie było burzy... Po krótkim czasie nastąpiła cisza, a niektórzy ludzie mówili, że były to ostatnie podrygi szatana.

To przejście szamana było próbą wiary dla nas, misjonarzy, ale być może jeszcze bardziej dla tamtejszych chrześcijan, którzy musieli zweryfikować swoją wiarę. Niektórzy – tak jak Ananiasz i Safira z Dziejów Apostolskich (por. Dz 5,1–11) – próbowali okłamywać innych i Boga, i być może płacili za to wysoką cenę. W tym wydarzeniu dla mnie osobiście Bóg okazał swoją wielką Moc i jednocześnie Miłosierdzie, a dla nas, misjonarzy, był to kolejny znak Jego obecności tu na ziemi i Jego miłości do wszystkich ludzi.

BR. MARIAN PAROŃ SVD

Brat zakonny w Zgromadzeniu Słowa Bożego. W latach 1974–1984 pracował na misjach w Papui-Nowej Gwinei. Bajarz, pięknie opowiadający o swoich doświadczeniach misyjnych i życiowych. Jest jednym z najstarszych współbraci we wspólnotcie w Kleosinie. Niestrudzony animator misyjny oraz złota rączka naprawiająca co się da.

Figle Nowogwinejczyków

Jako młody misjonarz zacząłem pracę w Papii-Nowej Gwinei w diecezjalnej katolickiej szkole średniej w Kondiu. Nie przypuszczałem, że przyjdzie mi, bratu zakonnemu, pełnić jednocześnie funkcję zaopatrzeniowca, mechanika, konserwatora czy elektryka. Uczyłem też tubylczych chłopaków mechaniki i elektroniki. Starąłem się im wytłumaczyć, że na słupy elektryczne nie trzeba wchodzić, bo tam siedzi mocniejszy duch od nich i ich pozrzuca. Było to trudne zadanie, ponieważ tubylcy lubią wchodzić na drzewa, by oczyszczać gniazda ptaków. Nie dowierzali też, że ktoś jest silniejszy od nich i może ich ze słupa zrzucić. Choć widzieli, że ktoś z niego spadł, to jednak nie brakowało śmiałości i trzeba było na słupach umieścić parasole ochronne, by im utrudnić taką drogę do wieczności. A już całkiem nie mogli pojąć tego, że biorę przewód do ręki, podłączam do lampy i świeci. Początki więc były trudne. Potem już sami zakładali instalacje elektryczne w domach, chociaż trudno im było uwierzyć, że ten duch jest tak silny, że nawet nietoperzom nie przepuszczał i jeśli któryś się zbliżył do przewodów – pozostawał na nich martwy.

W niedzielę po mszy św. wychodziłem zazwyczaj w teren na spacer, by zobaczyć, jak żyją ludzie w wioskach. Pewnego razu, gdy byłem dość oddalony od naszej szkoły, zza wzgórza ujrzałem niesamowity widok. Około pół tysiąca ludzi – kobiet, dzieci, a na samym przedzie wojownicy z łukami, siekierami, tarczami i dzidami – z głośnym krzykiem pędzi prosto na mnie. Uciec do stacji nie mogłem, bo dogoniliby mnie. Nie pozostało więc nic innego, jak modlić się i czekać. Tym bardziej że kilka lat wcześniej niedaleko szkoły dwóch innych braci przeniosło się do wieczności, sprawiając tym radość tubylcom.

Jak wmurowany stałem w miejscu, a kilku biegnących z przodu wojowników przybliżało się coraz szybciej. Pomyślałem, że jeśli dzida trafi, to szybko znajdę się po drugiej stronie. Tak rozmyślając, poczułem na piersi pierwsze dzidy i wtedy z radości rozśmiałem się w głos. Wszystkie dzidy jakby straciły swą moc i opadły do stóp, a na czarnych, zarośniętych twarzach ukazały się piękne białe zęby. Uśmiechnięte buzie wołały: „Aleśmy bratu figła splatali”. Rozpoznałem nauczycieli naszej szkoły. Robili próbę przedstawienia teatralnego, które mieli przedstawić na powitanie nowego biskupa diecezji. Co też później uczynili i wypadli wspaniale, tylko już bez ofiary.

Było gorąco

Życie misjonarza przynosi ciągle jakieś niespodzianki. Czasami miłe, gdy widzimy owoce naszej pracy – jak szkoła w Kondiu, w którą włożyliśmy tyle serca, a nasi wychowankowie coraz lepiej radzą sobie w życiu. A czasami musimy się zetknąć z brutalną codziennością.

Pewnego razu ks. biskup polecił mi zorganizowanie seminarium w sąsiedniej diecezji. Więc zabrałem jednego chłopca ze sobą, by pojechać i zorientować się, jak sytuacja wygląda na miejscu. Po godzinnej podróży zbliżyliśmy się do skrzyżowania kilku dróg. Zauważyłem, że jest ono obstawione pięcioma wozami policyjnymi i dwudziestoma policjantami uzbrojonymi w karabiny maszynowe. Prawie w ostatniej chwili przed skrzyżowaniem jeden z nich wyskoczył z boku drogi z lizakiem, by mnie zatrzymać. Ponieważ droga ta była tylko wysypana żwirem, więc przy szybkości, z jaką jechałem, nie zdążyłem wyhamować samochodu przed policjantem, tylko około dwa metry za nim. Wtedy on wydał rozkaz i zobaczyłem dwadzieścia luf karabinów wycelowanych w moje piersi. Pomyślałem sobie, czy jeszcze zdążę zrobić akt żalu za grzechy, bo drżący palec na cynglu któregoś z policjantów

może mnie posłać do bram św. Piotra. Wtedy dowódca podszedł do mego samochodu. Ponieważ okno było otwarte z mojej strony, zaczął z wielkim tupetem krzy-
czeć na mnie, co sobie myślę, że nie szanuję władzy, że nie zatrzymałem się przy nim, tylko zakurzyłem jego mundur, zatrzymując się dalej. Tak więc w ten deseń zaczął krzyżeć. Wówczas sobie pomyślałem, że jest on chyba z piekła rodem, i nie patrzyłem na niego, tylko prosto przed siebie w wymierzone lufy karabi-
nów. Zacząłem po cichu odmawiać modlitwę: „W Imię Jezusa Chrystusa i wszystkich świętych, niech zły duch opuści mnie i wszystkie stworzenia wokół mnie” i jedno „Zdrowaś, Maryjo”.

Upłynęło kilka minut i w pewnym momencie ten krzyczący policjant zamilkł, rozejrzał się dookoła po swych towarzyszach. Ci, jak na komendę, nie wytrzymali i wszyscy się roześmiali. Wtedy kiwnął ręką i wszystkie lufy zostały skierowane na ziemię. On natomiast zamilkł, jakby mu mowę odebrało. Odczekawszy chwilę, jakby mu łuski z oczu spadły, spokojnie spytał, kim jestem. Powiedziałem, że jestem br. Marian ze szkoły pod wezwaniem Różańca św. z Kondiu. Wtedy on zbladł, jak gdyby rażony, i nie mógł powiedzieć słowa. Chwilę odczekałem, po czym odezwałem się i zapytałem, czy zna taką szkołę.

Powiedział, że kilka lat temu ją ukończył, a potem uczył się w szkole policyjnej. Zaczął wypytywać, czy znam braci, którzy tam uczą. Oczywiście, że znałem, przecież codziennie z nimi przebywałem. Po tych słowach policjant zmienił się nie do poznania, zaczął błagać i przeproszać, że on tak bardzo niegrzecznie zachował się wobec mnie, prosił, prawie ze łzami w oczach, bym tylko nie powiedział o tym zdarzeniu bratu dyrektorowi tej szkoły. Przyrzekłem, że nie powiem, na co on przyznał, że ma w tej szkole jeszcze dwóch swoich braci i gdyby dyrektor się dowiedział, jak on się zachował, to mógłby ich wyrzucić ze szkoły.

Pomyślałem, jak potężny musi być Pan Bóg – w kilku chwilach może zmienić całą sytuację. Policjant tłumaczył też, że zrobiono tę obławę, ponieważ uciekł więzień, dlatego kontrolują wszystkie samochody.

Ziemniaczana Wigilia

Pamiętam pewną Wigilię Bożego Narodzenia spędzoną w Papui-Nowej Gwinei. W okresie świąt Bożego Narodzenia, gdy w Polsce jest zima, tam jest pora deszczowa. Temperatura około trzydziestu stopni Celsjusza, deszcze tropikalne bywają bardzo intensywne, szczególnie w nocy. W tym czasie podróż w górach jest bardzo ryzykowna. Główna droga prowadzi na wysokości dwóch i pół tysiąca metrów n.p.m., w górach natomiast nawet do trzech tysięcy metrów n.p.m.

Będąc na misjach w Papui-Nowej Gwinei, pracowałem też jako techniczne pogotowie ratunkowe dla diecezji. Pewnego razu, akurat dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia, zgłoszono awarię generatora. Miałem więc pojechać ze swojej stacji misyjnej do innej placówki. Zajechawszy tam, dowiedziałem się, że miejscowy misjonarz wyjechał w teren na objazd dwudziestu czterech kaplic. Mnie zaś polecił, abym po skończonej naprawie wrócił do swojej stacji misyjnej. Po zakończeniu pracy, było to w Wigilię Bożego Narodzenia, wracałem do siebie. Jechałem bardzo powoli, ponieważ drogi tam są nie najlepsze, a niektóre

w bardzo złym stanie. Do tego poprzedniej nocy padał bardzo ulewny deszcz.

Jadąc, w pewnym momencie zobaczyłem, że na stoku góry, na wysokości ponad pięćdziesięciu metrów nade mną, ruszają się drzewa i krzewy. Pomyślałem, że lepiej się zatrzymać. Z chwilą, gdy zahamowałem, nabrały one rozpędu i z lawiną zaczęły się osuwać w dół. Ja natomiast zdołałem włączyć wsteczny bieg i się wycofać. W tym momencie całe zboczne górskie zaczęło się obsuwać w czterystumetrową przepaść. Ani się nie obejrzałem, jak półtora metra przed moim samochodem powstała wielka przepaść. Musiałem się wycofać dalej i wrócić do stacji, z której wyjechałem, ponieważ nie było innego przejazdu. Tak więc wróciłem z powrotem. Nikogo na stacji nie było, w kuchni znalazłem dwa ziemniaki. Jeden z nich posłużył mi za kolację wigilijną.

To była jedna z moich wigilii w Papui-Nowej Gwinei, spędzonych z dala od współbraci, od domu. Misjonarz musi być przygotowany na niespodzianki, nigdy nie wie, co go czeka.

O. ANTHONY ERRAGUDI SVD

Werbista, misjonarz Zgromadzenia Słowa Bożego. Urodził się w Indiach, a za swoją drugą ojczyznę uznaje Polskę. Tu pracował przez trzynaście lat, z czego w parafii w Kleosinie cztery lata. Barwna postać, pełen zapału kapłan. Obecnie posługuje jako misjonarz w Norwegii. Prowadzi tam duszpasterstwo dla Polaków. Z ujmującym uśmiechem i piękną polszczyzną wita naszych rodaków w parafii w Oslo.

Życiowy szok

Pewnego dnia dostałem telefon, że zmarł młody Polak. Rodzice tego młodzieńca zmarli wiele lat wcześniej. Jedyne siostra nie utrzymywała z nim kontaktu. A jego dziewczyna go opuściła. Tak więc pracodawca wziął na siebie obowiązek, by zorganizować mu pogrzeb w Norwegii. Telefonował, że w ustalonym dniu odbierze mnie po pracy w Oslo. I tak po drodze do domu, w roboczym stroju, zawiózł mnie najpierw na cmentarz i powiedział, że przyjedzie w ciągu godziny z rodziną i ze współpracownikami na ceremonię pogrzebu. Pierwszy raz byłem na tym cmentarzu i zobaczyłem tam siedzibę zakładu pogrzebowego. Ponieważ byłem w sutannie, zaproszono mnie do środka na herbatę. Zapytałem tych, którzy tam pracują, o ich pracę, a oni powiedzieli, że jeśli mam ochotę, to mogą mi pokazać, jak wygląda ich praca. Zgodziłem się na to.

Pokazali mi niewielką salkę z małym stołeczkiem, gdzie można odprawić mszę pogrzebową. Tłumaczyli, że po mszy mam przycisnąć guzik umieszczony przy stoliku, a wtedy trumna stopniowo idzie pół metra niżej, bo taki jest system. A jak wszyscy wyjdą z salki, trzeba nacisnąć drugi przycisk, i wtedy trumna idzie do piwnicy, i ludzie nie widzą, co dalej się dzieje.

Poinformowali, że krematorium jest w piwnicy tuż pod salką. Chcieli pokazać, jak to działa, a więc zaprowadzili mnie do piwnicy. Były tam długie korytarze, a po jednej i drugiej stronie sporo pokoi. Otworzyli jeden pokój i poczułem chłód. Przez kilka sekund nic nie mogłem zobaczyć z powodu parowania w tym pomieszczeniu. Potrzebowałem trochę czasu, żeby zrozumieć, że jest tam kilka pięter, jak w szufladach, a w nich mnóstwo trumien z napisami i zdjęciami zmarłych osób. Zapytałem ich, czemu one tam leżą i to tak długo. Poinformowali, że czekają na członków rodzin. Takich pokoi było kilka. Widząc to, przez długą chwilę nie mogłem dojść do siebie.

Pytali mnie, czy jeszcze chcę zobaczyć. Nie boję się śmierci, a jeszcze bardziej zmarłych, więc się zgodziłem. Zaskoczyli mnie, mówiąc, że widziałem do tej pory tylko lodówki. Przez moment nie wiedziałem, co powiedzieć, bo byłem już wśród tak wielu trumien. Widziałem setki czekających na kremację i pochówek! Wprowadzili mnie do następnego, jeszcze większego pokoju. Tam zmarłem jak nigdy w życiu i to jeszcze latem, na dodatek w piwnicy, do tego ciepło ubrany. Powiedzieli, że to zamrażarka. Z powodu lodu w tym pomieszczeniu i wilgoci widok tam był nie z tej ziemi.

Poinformowali, że tam zmarli leżą nie tylko miesiącami, ale o wiele dłużej! W tym pomieszczeniu nie było atmosfery do rozmowy.

Wychodząc z tego dużego pokoju, już w korytarzu zauważyłem tory jak w kopalni na Śląsku. Wytłumaczyli mi, że właśnie tam ląduje trumna z góry po ceremonii. Idąc torami, dotarłem do jeszcze większego pokoju. Zobaczyłem tam mężczyznę, który był zaskoczony, że ktoś idzie do niego. Po przedstawieniu się zaprowadził mnie do pokoju, gdzie jest piec. Z daleka poczułem, jak tam jest ciepło. Pokazał mi z bliska, jak pracuje. Rozmawiając ze mną, pracował rękami, a ja pytałem, co robi. Okazało się, że wyciąga różne metale z ciał zmarłych. Otworzył pokój i pokazał mi je. Zobaczyć tam można było wszystkie rodzaje śrub i innych metali. Niektóre elementy wyglądały jak do płotu, ogrodu i do różnych maszyn. To wyglądało jak praca tokarza i kowala. W następnym pokoju pokazał mi też setki urn do odbioru.

Okazało się, że nigdy żaden ksiądz nie odwiedził go w piwnicy. Zapytałem, czy mogę to poświęcić. Odpowiedział, że jak najbardziej. Nigdy nie myślałem, że coś takiego zobaczę na własne oczy. Stojąc przy tysiącwatowym piecu, zrobiło mi się zimno i straciłem apetyt na kilka dni. Widok tyłu zmarłych

przechowywanych w lodówkach, zamrażarkach, skremowanych, tych, których nie odebrały rodziny... To wszystko wydało mi się wyprane z jakichś uczuć, szacunku dla zmarłych. Przypomniały mi się pogrzeby w Indiach czy w Polsce, gdzie uroczystości pogrzebowe najczęściej mają charakter religijny, gromadzą rodzinę i najbliższych. Jest to czas refleksji, modlitwy i zadumy nad ludzkim przemijaniem.

Wieczne odpoczywanie racz wszystkim zmarłym dać, Panie. A światłość wiekuista niechaj im świeci. Niech odpoczywają w pokoju. Amen.

O. KRZYSZTOF GRZYBEK SVD

Werbista, misjonarz Zgromadzenia Słowa Bożego, znany z niebanalnego poczucia humoru i płomiennych kazań. Pracował przez cztery lata w Rosji – Błagowieszczeńsk, Wołogda. Stąd większość jego opowieści. Obecnie przebywa w Domu Misyjnym w Kleosinie, zajmuje się pomocą osobom uzależnionym. Posługuje w Stowarzyszeniu Pomocy Rodzinie Droga.

Miasto Zwiastowania

Gdy byłem bardzo młodym zakonnikiem, to śpiewając *Godzinki*, zastanawiałem się: „Czemu Matkę Bożą nazywają utwierdzoną wieżą wzmocnioną basztami. Że ta Matka Boża jest przedstawiana jako warowna twierdza. Jako armia. Jako broń. Z kim Ona walczy? Dlaczego walczy? Przecież Ona taka Matka – słodka, miłująca, kochana. Z kim tu walczyć?”. Aż do momentu, kiedy usłyszałem pewną historię.

Miałem w Rosji taką parafiankę, staruszkę. Ona wchodziła do kaplicy o laseczce, tak jej się ręka trzęsła. Zawsze podchodziła do obrazu Jezusa Miłosiernego i całowała go w stopy. Potem kłaniała się Matce Bożej i mówiła „dziękuję”. A dopiero potem kłękała przed Najświętszym Sakramentem. Pewnego razu podszedłem do niej i zapytałem, dlaczego to robi. I ona zaczęła opowiadać historię.

„Pamiętam pierwsze moje wspomnienie z dzieciństwa. Wielki żelazny pociąg. Ogromne wagony. I w tych wagonach mnóstwo ludzi. I koń. Tam był nasz koń. O takiej jasnej grzywie. I on pachniał. Pamiętam, że tak było przez pierwsze dni podróży. A potem pamiętam, że bałam się do niego zbliżyć. Bałam się

podchodzić dlatego, że już nie pachniał. I zaczął się robić agresywny. Z głodu. Jechaliśmy przez pięć dni. Dopiero po pięciu dniach otwarto wagon. Pokazali się radzieccy żołnierze. Krzykiem nas szybko wypędzili z wagonów. Kazali pić wodę. Mama powiedziała: «Napij się dużo, bo następny kubek wody dostaniesz dopiero jutro».

Była razem z całą swoją rodziną, można powiedzieć – z kawałkiem wioski, zabrana, wsadzona do radzieckiego pociągu i wieziona. Powiedziała: „Nie pamiętam, ile trwała nasza podróż, ale musiała trwać co najmniej dwa tygodnie. Koń bardzo schudł. Wszyscy bardzo schudliśmy podczas tej podróży. Były tylko dwa albo trzy przystanki. I to tylko po to, żeby się napić. W pewnym momencie pociąg się zatrzymał. Otwarły się wszystkie wagony. Usłyszeliśmy mnóstwo krzyku. Radzieccy żołnierze nas kopniakami wyrzucali z wagonów. I gdzie wyszliśmy? Gdy człowiek się rozejrzył, to nie było ani jednego drzewa. Wszędzie były woda i błoto. Wszędzie rosło coś w rodzaju trzciny, wysokiej trawy. Kazali nam wyjść. My po kostki w tej wodzie. Ktoś tam znalazł kawałek jakiegoś suchego miejsca. Starsi wzięli tobołki na siebie, żeby ich nie zamoczyć. Ktoś wrzucił coś na konia, czy krowę. Mama dzieci łapała. I pociąg odjechał. My staliśmy”.

„Pamiętam, jak staliśmy. Weszliśmy wszyscy na tory. To było jedyne suche miejsce. I staliśmy. I czekaliśmy. Myśleliśmy, że zaraz ktoś przyjedzie, ktoś nas gdzieś zaprowadzi, a tu nic. Parę godzin nic. Ludzie zaczęli myśleć, rozmawiać, kombinować. Ktoś zaproponował, by iść wzdłuż torów. Kilku mężczyzn poszło i za parę godzin wróciło. Był już wieczór. Powiedzieli, że nic tam nie ma. W drugą stronę, jak się okazało, też nic nie było. I tak koczowaliśmy przez kilka dni. Całe zapasy jedzenia, które były, zostały już prawie wyczerpane. Wodę zaczęliśmy pić z tego błota. Próbowaliśmy jakoś filtrować to błoto przez trawę i ją gotować. Ktoś złapał żabę: «Może się przyda. Nie wiadomo, jak długo tu będziemy siedzieć». Nagle po paru dniach zobaczyliśmy coś czerwonego w oddali. Przybliżało się bardzo powoli. Okazało się, że to był żołnierz na koniu. Miał taką wielką czerwoną czapkę. Podjechał, nie spiesząc się. Palił papierosa. Spojrzał na nas i powiedział: «Tylko tytle??? Pajechali...». I poprowadził nas przez to błoto”.

„Nie pamiętam, jak długo szliśmy. Musieliśmy iść całą noc i cały dzień”. Przypomina sobie, że budziła się raz na rękę mamy, raz na rękę ojca. To za chwilę ją siostra niosła. Następne, co pamięta, to coś w rodzaju wioski. Gdy później poskładała wspomnienia – swoje

i bliskich – to się okazało, że doprowadzili całą tę gromadę do czegoś w rodzaju wioski z baraków. Po prostu baraki wybudowane pośrodku osuszonego bagna. Leżała tam cała masa desek. I jeden z żołnierzy powiedział: „Jeżeli chcecie tu mieszkać, no to sobie tu wybudujcie dom. Państwo wam daje. Państwo jest dobre”. I wybudowali sobie barak. Nie było w zasadzie z czego wybierać. Były po prostu deski jednej długości, jednej szerokości. I wszystko można było budować takie samo. Były nawet gwoździe. I tak się rozpoczęło życie. Od wybudowania domu.

„Co ciekawe, tam nie było żadnej warty, nie było żadnego wojska, nie było nic. Tylko masa ludzi pośrodku bagna. Minął tydzień, odkąd ktoś przywiózł pierwszy chleb. I wtedy nagle zjawili się żołnierze, przywieźli zboże, jakieś kawałki mięsa, ryby, cukier. I powiedzieli tak: «To wszystko dla was. Ale... Jeden członek rodziny za to musi zapłacić – idzie do pracy przy osuszaniu bagna. Jeżeli on idzie, rodzina dostaje jeść». Oczywiście, że ojciec się zgodził. Nie miał innego wyjścia. Wychodził bardzo wczesnie rano. Mówił, że podróż na miejsce pracy trwała kilka godzin. I wracał stamtąd późno w nocy. Przynosił czasem trochę mąki, czasem jakiś tłuszcz. Czasami dostał kilka ryb czy kawałek mięsa, dwa chleby.

Miałam cztery siostry, jednego brata, mamę, ojca. Ośmioosobowa rodzina. Tyle jedzenia na taką rodzinę. Oczywiście w tych barakach mieszkało dużo ludzi, cała masa ludzi. Byli też tacy, którzy nie byli już w stanie pracować. Codziennie mijaliśmy zebranych staruszków albo takich młodych staruszków, wykonanych nieludzką pracą trzydziesto-, czterdziestoletnich. Żywe kości. I trzeba było się z nimi też dzielić. Niektórzy prosili o łyżeczkę cukru i to im starczało na dwa dni. Ojciec wytrzymał rok.

Nie pamięta, jak wyglądał wcześniej, tylko te ostatnie kadry z życia, że miał bardzo kościste palce, kościstą rękę, że miał wszystko zapadnięte. Z wycieńczenia. Z głodu. Po roku zmarł. Potem do pracy poszła mama. Ponoć wytrzymała w pracy dłużej. Trochę dłużej niż rok. Pamiętam ją taką wychudzoną, takiego szkieletora. Przychodziła do domu późno w nocy, robiła nam posiłek, który był śniadaniem, obiadem i kolacją. W nocy. To była celebracja. To była Eucharystia. Myśmy się wtedy całą rodziną gromadzili. To był jedyny nasz posiłek. Jedyny. I to było jedyne spotkanie nas wszystkich razem”.

„Potem, kiedy mama zmarła, do pracy poszła najstarsza siostra. Ponoć wytrzymała trochę dłużej niż rok. Wokół nas już rosły kolejne baraki. Pojawiały

kolejne dziesiątki, setki ludzi. Z całego świata. Widzieliśmy masę skośnookich ludzi. Widzieliśmy jakichś ludzi przywiezionych z północy, z zachodu, z południa. W tych barakach rozmawiało się w kilkunastu językach. Mój polski nie był niczym nadzwyczajnym. Tyle było języków. Ja umiałam trochę rosyjskiego, trochę białoruskiego, trochę jakuckiego, trochę tatarskiego. Oni umieli trochę polskiego. Nawet były jakieś niemieckie słowa.

Kiedy zmarła siostra, do pracy poszła kolejna. Kiedy ona zmarła, poszła kolejna. I tak po kolei... Pamiętam czasy, kiedy do pracy poszedł brat. Tak bardzo go prosiłam: «Nie idź. Jakoś sobie poradzimy. Ja umiem żebrać. Ja umiem prosić. Ja umiem kraść. Ja wiem nawet, jak ukraść z magazynu ze sztabu partii. Ja wiem, jak tam wejść». Ale on się uparł. Powiedział: «Nie damy im tej satysfakcji. Nie pozwolę, żeby nas nazwali złodziejami». I poszedł do pracy”.

„Podczas ostatniego roku, kiedy żył ostatni członek rodziny, chodziłam już do szkoły. Ktoś tam zauważył, że jestem bardzo zdolna i świetnie się uczę. Miejscowy felczer, który w tej wiosce pracował, zaczął mnie przyuczać trochę do medycyny. W ten sposób dostawałam niewiele jedzenia. Nawet niedużo pieniędzy. Wystarczyło to, żebyśmy z bratem jakoś przeżyli.

Niestety brat zachorował na jakąś chorobę i po prostu umarł. Mimo całych moich nowych umiejętności lekarskich nie dałam rady mu pomóc. Mnie nie posłano do pracy. Ja pracowałam dalej z tym lekarzem. Minęło parę lat. Nagle pewnego dnia przyszedł list, że mam wsiąść do pociągu takiego i takiego. Dano mi jakieś dokumenty. Wywieźli mnie końmi do tego pociągu. Wsiadłam. Jechaliśmy znowu dwa tygodnie. Wsiadłam w jakimś mieście. Tam było kilkanaście młodych ludzi, takich jak ja, zebranych w jedną gromadę. Zjawiała się jakaś kobieta. Mówiła o świetlanej, wspaniałej przyszłości, która nas teraz czeka: «Wy jesteście teraz przyszłością tego narodu, w was cała nadzieja». Nawet nie wiedziałam, że trafiłam na uniwersytet medyczny. Byłam w samej Moskwie. I tam mnie uczono na lekarza”.

„Zostałam wykształcona jako ginekolog położnik. I po paru latach studiów, kiedy zdałam wzorowo wszystkie egzaminy, kiedy odebrałam sama kilka porodów, kiedy nawet udało mi się przeprowadzić jakąś operację, nagle przyszedł list. Znowu bilet na kolejny pociąg. Znowu dwa tygodnie podróży.

I ponownie znalazłam się w tym samym miejscu. Paręset kilometrów od tych bagien, gdzie do dziś pochowana jest cała moja rodzina. Miejscowości, która

nazywa się Błagowieszczeńsk”. Błagowieszczeńsk dosłownie znaczy „miasto dobrej nowiny”, „miasto Zwiastowania”. „Błagowieszczenie” to Zwiastowanie.

„Byłam tam jedynym lekarzem – na całe kilkudziesięciotysięczne miasto, które właśnie powstawało. Jedynym ginekologiem położnikiem na obszar, który dzisiaj zajmuje mniej więcej taki obszar jak dwa razy Polska. Jedynym. Jedynym lekarzem na całe miasto. Jedynym ginekologiem na całe państwo można powiedzieć. I do mnie należało ratowanie ludzi. I wtedy stoczyłam największą walkę ze sobą. Cała moja rodzina leżała w tej przeklętej ziemi! W tej przeklętej wodzie. Cała moja rodzina! Oni doprowadzili do tego, że oni wszyscy tutaj zginęli. A teraz każą mi ratować ich rodziny. Ich dzieci. Ich mamy. Każą mi osuszać łzy ich ojców. Bestie... Wówczas stoczyłam największą walkę. Wtedy sobie przypomniałam głos mojego brata, który mówił: «Nie damy im tej satysfakcji. Nie zrobią z nas złodziei. Nie zrobią z nas złych ludzi. Za nic w świecie». Do końca brat chciał być uczciwy. I tak sobie pomyślałam: nie zrobią ze mnie złej.

Pamiętałam, że kiedy mama była już taka wycieńczona i nie potrafiła się modlić, to jedyne, co potrafiła, to trzymać w szkieletowatych palcach różaniec. Znak krzyża na chlebie robić. I to była cała

jej modlitwa. Wiedziałam natomiast, że ona w tym momencie się modli, w tym momencie prosi. To była jedyna jej walka. Ona wiedziała, że przegrywa walkę o życie. Że przegrywa walkę o rodzinę. Że przegrywa walkę o przetrwanie. Ale tej jednej walki nie chciała przegrać. Powiedziałam sobie: ja też nie przegram.

Zrobiłam sobie różaniec. Zaczęłam go odmawiać. I zaczęłam leczyć tych ludzi, przyjmować porody. Zawalczyłam o to, żeby była klinika na poziomie. Walczyłam z partyjniakami – że ja się nie zgadzam na to, żeby leczyć w byle jakich warunkach. Sprowadzili mnie dla pozorów, że oto przywieźliśmy wam, ludu, lekarza. I chcieli zwalić na mnie całą winę, że te dzieci umierały. A ja zgromadziłam wokół siebie ludzi i kazałam im wybudować klinikę. Powiedziałam im, co trzeba sprowadzić, jakie narzędzia, jakie mają być łóżka, co jest potrzebne. Ja tych ludzi uczyłam, jak należy dbać o ciążę. I tak powstała klinika. Zgłosiło się kilku chętnych i zaczęłam ich uczyć. I tak z roku na rok zaczęła powstawać kadra medyczna, tam na miejscu.

Pewnego dnia podjechał samochód. To były czasy, że było ich bardzo niewiele. Gdy więc podjechał, wiedziałam, że coś ważnego się dzieje. Wskoczyło z niego dwóch żołnierzy. Wynieśli kobietę, która bardzo cierpiała. A potem podjechał drugi samochód.

I z niego wyszedł jeden z głównych partyjnych, mąż tej kobiety. Okazało się, że był bardzo skomplikowany poród – dziecko się obróciło w drugą stronę. To było kilka godzin walki. Krwi. Bólu tej kobiety. Wrzasku. Ten mąż płakał. On tak głośno krzyczał do swojej żony: «Tak bardzo cię kocham. Tak bardzo cię kocham... nie odchodź». Do mnie wrzeszczał nad uchem – ja tu walczę, tu mi krew cieknie, a on mi wrzeszczy: «Zrób coś, zrób coś». Aż w końcu kazałam jednemu z żołnierzy uderzyć go, bo inaczej to dziecko by zginęło, gdyby ten gość nie przestał wrzeszczeć. Kazałam temu żołnierzowi go walnąć i wyprowadzić. I on to zrobił. Ten facet dostał cios i został po prostu wyprowadzony. Takie były czasy... Po kilku godzinach dziecko się urodziło. Całe i zdrowe. Matka przeżyła.

Następnego dnia odbył się wiec, dużo wcześniej zaplanowany, w sprawie rozwoju miasta. I ten partyjny człowiek też tam siedział. I on zabrał głos. Powiedział: «Wśród nas siedzi wróg naszego narodu, który buntuje prosty lud». I pokazał na mnie. I wtedy znowu sobie przypomniałam słowa brata: «Nie pozwolimy im na to. Nie pozwolimy, żeby zrobili z nas złodziei, złych ludzi». Pomyślałam sobie, nie będę się na niego wściekać, nie będę zła. I znowu zaczęłam odmawiać różaniec. Zawsze odmawiałam

w nocy. Wtedy, kiedy mama przychodziła z tym chlebem. Wtedy, kiedy była nasza domowa Eucharystia. W środku mojej nocy. W środku mojego bólu, mojej ciemności i mojej wściekłości... odmawiałam różaniec”. Co ciekawe, ta kobieta mnie zapytała, jak należy odmawiać różaniec. Zapytałem więc, jak go odmawiała przez te wszystkie lata. A ona rzekła: „Tak, jak umiałam. Tak, jak pamiętałam. Ja nie wiem, czy ja go odmawiałam dobrze”. Gdy ja jej tłumaczyłem, jak się odmawia różaniec – ona płakała, mówiąc – „to ja go odmawiałam źle”. Odpowiedziałem jej: „Ty go odmawiałaś wspaniale, bo ciebie Bóg wysłuchał”.

Kiedy ją spotkałem, ta pani była już osiemdziesięcioparoletnią staruszką. Jej córka – ginekolog położnik, specjalista najwyższej klasy – obecnie w Błagowieszczeńsku jest radcą gubernatora do spraw medycznych. Jej wnuczka – ginekolog położnik, zastępca ordynatora w szpitalu w Błagowieszczeńsku. I prawnuczka – obecnie uczy się w Petersburgu na lekarza.

Ona wzięła ten różaniec i powiedziała: „Tylko to... Pozwoliło mi przetrwać. Tylko to pozwoliło mi przeżyć. Pozwoliło mi przebaczyć. Pozwoliło mi stworzyć szpital. Pozwoliło mi stworzyć sieć szpitali. Pozwoliło mi zapomnieć. Pokochać...”.

Przybądź nam, miłościwa Pani, ku pomocy, abyśmy byli wyrwani z potężnych nieprzyjaciół mocy. Nie chodzi tu o okupanta, ale naszym prawdziwym nieprzyjacielem jest gniew, który się rodzi na skutek krzywd, które otrzymujemy. Prawdziwym nieprzyjacielem człowieka jest nienawiść do drugiego człowieka, nieprzebaczenie.

Misja ocalania

Młoda dziewczyna. Ze swoją grupą oazową chodziła na pielgrzymki z wielkim plecakiem na ramionach. Chłopcy skarżyli się księdzu, że ciągle coś od kogoś pożycza: a to wodę, a to papier, a to sweter. A przecież ma taki duży plecak. Niech przygotuje się do pielgrzymki i weźmie co jest naprawdę potrzebne. Ksiądz ją obserwował, bo faktycznie miała gigantyczny plecak. Ciężki. I zawsze szła jakoś z tyłu. Co ona ma w tym plecaku, że aż ugina się pod ciężarem, może jakieś niepotrzebne rzeczy, tylko kosmetyki, jak to zwykle kobiety robią.

Aż pewnego dnia zobaczył, co ona ma w tym plecaku. Kamienie... Same kamienie! Plecak pełen kamieni. I on się pyta: „Po co ci te kamienie?”. A ona na to: „To za mego ojca. Nie wierzy w Boga. On ćpa. I ja za każdym razem, idąc na pielgrzymkę, ładuję kamienie. To są jego grzechy”. To był facet, który ją podobno przywiązywał czasami do kaloryfera, żeby ona nie wychodziła z domu i nie spotykała się z chłopakami. A ona go tak kochała. I wyobraźcie sobie, w noc swojej śmierci jej ojciec poprosił o księdza. Spowiedź trwała pięć godzin. Po spowiedzi umarł. Miłość jest niesamowicie uparta. Miłość potrafi ocalać świat dla Boga. My mamy misję ocalania świata dla Boga.

Lucyna

Była siostrą zakonną. Gdy ją poznałem, od wielu lat miała stwardnienie rozsiane. To jest choroba, która odbiera władzę nad członkami. Ręką nie możesz ruszać, nogą powłóczysz, głowa ci się jakoś wygina, oko zamyka. Jej poraziło cały mózg, więc była totalnie cała sparaliżowana. Tak leżała zwinięta jak rogalik. Jedyne co mogła, to patrzeć przez okno. Przez nie widziała kawałek kamienicy i dwa gołębie, które czasami przylatywały. Jedyne rzecz dynamiczna. Nawet mówić nie potrafiła. „Y Yyy, yyyy y Y yyyyy Yyy yyyy yyyy” – to oznaczało w „imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen”. Tak mówiła...

Więc od intuicji jej siostr zależało, czy ona będzie leżeć na lewym boku, czy na prawym, czy chce teraz siedzieć, czy leżeć. Czy chce słuchać radia, czy może nie chce go słuchać. Czy chce się napić wody, czy może jej nie chce. Rozumiecie – od kogoś innego to zależy. Tak jej życie wyglądało.

Podczas rozmowy z nią, jeśli po godzinie zrozumiałem jedno zdanie, co ona chce powiedzieć, to ona płakała ze szczęścia. No i pamiętam jej cud. Cud jej modlitwy. Pewnego razu przyszła do mnie znajoma,

oznajmiając, że rozwiedzie się z mężem, bo ten drań nic tylko pije, kradnie, wszystko do lombardu wynosi za wódkę, ostatnio telewizor wziął i sprzedał za wódkę. Dzieci wygnał... bo mu się sprzeciwiały. Pomyślałem wtedy: co tu robić? Nie wiem... przemówić do rozsądku...?

I pobiegłem do Lucyny. Opowiedziałem jej o tym alkoholiku i rzekłem: „Wiesz co, jesteś bardzo chora i cierpiąca. Ofiaruj, proszę, twoją chorobę za niego. Ale wiesz, co znaczy ofiarować? To znaczy, że dzisiaj się nie modlisz za siebie. Nie modlisz się, żeby ci Bóg tę chorobę zabrał. Nie modlisz się, żeby Bóg ci śmierć zesłał. Nie modlisz się. Przyjmujesz i mówisz: tak, ja chcę tę chorobę. Chcę ją... ale jego ocal. Jeśli się zgadzasz – włożyłem mój palec w jej ściśniętą dłoń, której nie mogła rozprostować – to ściśnij i to będzie twoje «Amen», Pan Bóg zrozumie”. To trwało z dziesięć minut. Ona nie powiedziała „amen” tak od razu, z dziesięć minut walki. Czekałem. Widziałem, jak jej się żyły pojawiają na czole, na policzkach, jak walczy ze sobą. W pewnym momencie zamknęła oczy, zaciśnęła zęby. Ileż ją kosztowało, by powiedzieć „bądź wola Twoja”. I w pewnym momencie zaczyna mnie ścisnąć. Mówię: „Dobra, Pan Bóg usłyszał”. Buzi w czołko i pobiegłem.

Na drugi dzień ta kobieta przyszła cała zapłakana. Zapytałem, co się stało. „Mój chłop zwariował! On przyszedł do mnie i powiedział: «Żono kochana, weź mnie wywieź do jakiegoś psychologa, do jakiegoś psychiatryka, bo ja muszę przestać pić!». Zaczął chodzić na terapię. Opowiadała, że przychodził codziennie z tej terapii z zeszytem, gdyż terapeuta kazał mu napisać, jak jego picie skrzywdziło jego żonę. On pisał przykłady, płakał i mówił: „Żono, powiedz mi, żebyś ja czegoś nie pominął – jak ja cię jeszcze skrzywdziłem? Jak ja skrzywdziłem moje dzieci? Jak ja zrujnowałem nasze finanse? Jak ja skrzywdziłem twoich rodziców?”. On płakał na ten zeszyt, ona płakała, razem płakali, razem pisali. Mało który alkoholik w ogóle sam się zgłasza na terapię. Jeśli siłą nie zawieszysz, to inaczej jest trudno. Mężczyzna nie pije do dziś, pracuje, opiekuje się jej rodzicami. Pobiegłem do Lucyny i powiedziałem: „Dziewczyno, ty jesteś jak krzyż wyciągnięty do nieba. Ty masz moc ocalać. Siła twojej modlitwy, siła twojego cierpienia faceta po prostu wygrzebała z dna”.

Jakiś czas później mieliśmy w parafii kolędę. Proboszcz wręczył mi sześćdziesiąt adresów, mówiąc: „Dzisiaj tyle do obejścia”. Tak dużo? Jak ja te sześćdziesiąt mieszkań obejdę? A on rzekł: „Nie martw się.

To jest taka dzielnica, że ciebie do dziesięciu w ogóle wpuszczają. A do niektórych nawet nie wchodzi. Sam zobaczysz...”. I przed wyjściem na tę kolędę poszedłem do Lucyny i powiedziałem: „Słuchaj, idę na kolędę, ty wiesz, co się tam będzie działo? To jest misja. Ofiaruj dzisiaj twoje cierpienie za tę kolędę. Zgadzasz się czy nie?”. Znowu włożyłem palec w jej zaciśniętą dłoń. Ona bez namysłu momentalnie zaczęła mnie ścisnąć. To było jej „Amen”.

Poszedłem na kolędę. Ciemno na klatce, światła nie ma, świecę komórką i widzę naklejkę na drzwiach: pięść z napisem „wchodzisz na własną odpowiedzialność”. Pomyślałem: „No ładnie, ale będzie jazda. Ja tu w sutannie, z kropidłem”. Zapukałem... Otworzył mi, jak się dowiedziałem, o głowę wyższy ode mnie Mareczek. Na mój widok rzucił przekleństwo, zostawił drzwi otwarte i poszedł. No więc ja tak nieśmiało spróbowałem wejść. No i doskoczyła do mnie... matka, ojciec, cała rodzina. Zaczęli wykrzykiwać przekleństwa i wyzwiska: „...ty czarna władzo jeden, ty po kasę mi tu przychodzisz”. A ja pomyślałem: „Lucyna, jak ty się modlisz, to teraz, kobieto...”. I ku memu zdziwieniu zamknąłem za sobą drzwi i słuchałem tych inwektyw z niesamowitym spokojem. I nagle powiedziałem im: „Słuchajcie, ja was rozumiem, że wy nie

lubicie Kościoła. Jakbym takie rzeczy przeżył jak wy, to ja chyba też bym nie lubił. Ja tu przyszedłem spotkać się jak człowiek z człowiekiem”. Oni się uspokoiли, mieli dziwne miny. Zaprosili do pokoju. Nasza rozmowa trwała z godzinę, może więcej. Skończyła się tak, żeśmy się razem modlili. Otworzyłem Pismo św., żeby je przeczytali. Włożyłem na nich ręce i się modliłem. W trakcie tej rozmowy Mareczek siedział z boku, siedział i słuchał. W końcu zaklął i powiedział: „ja nie mogę tego wytrzymać” – i wyszedł. Za dwadzieścia minut wrócił trochę podpity i dalej słuchał. Tak mu coś w sumieniu pracowało. Na końcu powiedzieli tak: „Nas tu przez pięć lat żaden ksiądz nie odwiedził. Mamy nadzieję, że za rok znowu przyjdiesz. Pamiętaj, że my tu też parafianie”.

W następnym mieszkaniu miała miejsce manifestacja złego ducha. Była tam bardzo schorowana matka z nastoletnią córką i jej koleżanką. Kiedy zacząłem się modlić o uzdrowienie dla matki, nagle nastolatka zaczęła się śmiać dziwnym chichotem. Pomyślałem, o co tu chodzi? Mama powiedziała: „Ona właśnie tak ma, tak na modlitwę reaguje, ona do kościoła nie może wejść, bo ją dusi”. Dziewczyna śmiała się ze mnie, a mi było głupio, czułem się poniżony i upokorzony. W myślach ofiarowałem

to Jezusowi za nią. I ona w tym momencie... upadła i zaczęła się dusić. Pomodliłem się nad nią. Po czym dziewczyna nagle wstała, mówiąc, że ją brzuch boli.

Matko moja, czym jest ofiara, czym jest przyjęcie cierpienia, czym jest pokora? Diabeł nie znosi pokory. Po tych wszystkich wydarzeniach poleciałem do Lucyny. Powiedziałem jej: „Ty rzeczywiście jesteś jak Pan Jezus. On na krzyżu ręce, nogi miał przybite, nie mógł ruszyć ręką, nogą, nic. Ciemność wokół niego. I ty tak samo: na tym łóżku ręką, nogą ruszyć nie możesz, ciemność wokół ciebie. Ty jesteś jak krzyż, który woła o miłosierdzie”.

Pomyślałem, że takie rzeczy mogą mieć znaczenie: różańce, pielgrzymki, adoracje i wszystko, co robimy dobrego. Chodzi o to, żeby to nie był handel z Panem, żeby to nie była magia, że Bóg musi spełnić moją wolę, musi robić to, co ja chcę, ale ofiara pełna miłości. To miłość sprawia, że ja jestem gotów to przyjąć. I miłość mówi tak: „Ty, Panie Boże, wiesz, Ty jesteś mądry, ja się modlę, ale ja nie żądam od Ciebie nic. Nie mam roszczeń. Nie oczekuję od Ciebie, że ja jak się modlę tydzień, to Ty już z tym coś zrobisz. Ty wiesz lepiej, kiedy, komu i co dać”.

Wygnańcy Ewy

Złote słońce skłoniło już swą zmęczoną głowę za horyzont, zostawiając Wołogdę jak i tysiące innych rosyjskich miast w delikatnych objęciach milczącej nocy. Czas ciszy, czas odpoczynku. Dzień Zaduszny dobiegał końca. Drzwi naszego kościoła parafialnego zamknęły się, żegnając cichnące głosy odchodzących parafian, przybyłych, by pomodlić się za zmarłych. W ciemnej kaplicy u stóp figurki Matki Bożej Fatimskiej paliła się jeszcze świeca. Rzuciła osobliwe, blade światło na pomarszczoną spokojną twarz starszej pani, wpatrzonej w dłonie Niepokalanej.

Ciszę wieczoru na chwilę przerwał szept kobiety: „Dla mamy”. I popłynęła pieśń. „Serdeczna Matko, opiekunko ludzi, niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi...” Jakże dziwnie brzmiały te słowa – polskie słowa – tu w Wołogdzie, w mieście w północno-zachodniej części Rosji – „wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy...”. Myślę, że tego wieczoru starsza pani nie była w kaplicy całkiem sama. Myślę, że była tu jej zmarła mama. W latach trzydziestych minionego wieku szesnastoletnia Janina Oziębłowska wraz z bratem i rodzicami została zesłana z Ukrainy w głąb Związku Radzieckiego jako tzw. element socjalnie

niebezpieczny. Podzieliła los dziesiątek tysięcy zesłańców. Za to, że nosiła krzyż, za swoje przekonania. Z całą rodziną trafiła do łagru na pięć lat. Tam gołymi rękami musiała wygrzebać ziemiankę, by choć na chwilę schronić się przed deszczem. Jej dziesięcioletni brat razem z ojcem został zmuszony do karczowania lasu. Pracowali niedaleko rzeki, lecz nie wolno im było się do niej zbliżać. Do jedzenia dostawali przesoloną rybę, ale nie wolno im było pić. Jeśli zrezygnowali z jedzenia, to mogli się napić, ale cierpieli z głodu. Był taki głód, że chodzili nielegalnie do lasu, by zbierać jagody, grzyby, pokrzywę na marną zupę.

„Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy, zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy”. Janina poznała Rosjanina, więźnia tegoż obozu, który stał się jej mężem. Kiedy zmarła, mając czterdzieści parę lat, na tej smutnej ziemi pozostały jej dwie małe córeczki. Ta ziemia stała się ich ojczyzną, język rosyjski, dla niej obcy, stał się dla nich ojczystym językiem. One, początkowo nazywane wrogami narodu, ziemię rosyjską uznały za ojczyznę. „Do kogóż mamy...” Tam urodziły się ich dzieci. Chodziły do rosyjskich szkół, rosły, dojrzewały i ta ziemia stała się ich domem. „...wzdychać nędzne dziatki...” Tu dorastały, zakładały rodziny i żegnały swoich kochanych rodziców, pamiętających jeszcze

wersety Mickiewicza, zapach wigilijnej wieszki, biały opłatek i dźwięk kościelnych organów – „tylko do Ciebie, ukochanej Matki”. Stare, wytarte spracowanymi rękami modlitewniki, drewniane różańce i obrazki Czarnej Madonny są świadectwem głębokiej wiary i polskości tysięcy ludzi jak mak rozsypanych po całym terytorium obecnej Rosyjskiej Federacji. „U której Serce otwarte każdemu, a osobliwie nędzą strapionemu”.

Poszarzałe zdjęcia na półkach. „To mój tata Stanisław, to wujek Zbigniew, a to mama Anna, babcia Marcelina” – często słyszałem z wielu ust po rosyjsku wypowiedane polskie imiona. Usta te nie zapomniały słów pacierza, których mama uczyła po cichu, potajemnie, lecz gorliwie. Strudzone serca nie zapomniały jakże dziwnie tutaj brzmiących słów: „Kto ty jesteś? Polak mały. Jaki znak twój? Orzeł biały”. Głos zadrżał. „Dziękuję, ojciec. Dziękuję” – zabrzmiały polskie słowa. Starsza pani nie pamiętała trzeciej zwrotki. Miała też kłopoty z przypomnieniem dwóch pierwszych. „Dziękuję, ojciec”. Cały dzień czekała na tę chwilę, prosiła, by wydrukować jej tekst ukochanej pieśni, modlitwy dawno zmarłej mamy. Potomkowie polskich zesłańców w Rosji, rozrzucony po całym obszarze tego ogromnego kraju, stali się częścią tego społeczeństwa,

często zabiegając o wzajemne pojednanie i przebaczenie między dwoma narodami, które łączy wspólna przeszłość, choć czasem bolesna historia. W wielu miastach działają aktywnie organizacje polonijne i tzw. polskie domy zrzeszające potomków dawnych wygnańców i ich dzieci urodzonych już na przełomie XX i XXI wieku. Biało-czerwone flagi, zdjęcia Kopernika, Chopina, Sienkiewicza, Jana Pawła II witają gości i gospodarzy tych szczególnych domów. Miejsc pamięci i czci, gdzie bije biało-czerwone serce, gdzie ziemia i ściany jakby pachną „krwią i blizną”, miejsc dumy i nadziei. Miejsc nierzadko otoczonych modlitwą. Polsko brzmiące „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie...” często płynie na cmentarzach gdzieś setki i tysiące kilometrów na wschód od Wisły, „a światłość wiekuista niechaj im świeci...” brzmi w miejscach pamięci i przy pomnikach, świadkach losów strudzonych wygnańców. W grudniowe wieczory w wielu domach zapalone są świece, a rodzina gromadzi się wokół betlejemskiej kolędy i zielonej choinki, wypatrując pierwszej gwiazdy, znaku Zbawiciela, ożywiając to, co jest najcenniejsze i najpiękniejsze w ich dziedzictwie. Zgasłem świecę, starsza pani już wyszła. I modlitwa wieczorna do nieba pobięła, niosąc pod stopy Pani z Jasnej Góry dole i niedole, radości i smutki, nadzieję i oczekiwanie.

Rozpalono ogień. Ciepło wydobywało się z szarego pieca, miękkim płaszczem otulając dwie postacie siedzące na wytartym fotelu. Staruszka pomarszczoną dłonią głaskała złociste loczki swojej wnuczki, której główka spoczywała na piersi babci. Malutka Larisa wpatrywała się w cienie cichutko tańczące na ścianie, kiedy babcia kołysała się z lekka, próbując utulić małą pociechę do snu. Szeptala do ucha dziwną bajkę, którą niewiele dzieci miało okazję słyszeć w tamtym czasie w tym kraju. Nawet blady płomień świecy zastygł w milczeniu, jakby słuchając tej dziwnej opowieści. O jakimś panu, który bardzo kochał ludzi, wszystkich ludzi. Który obiecał im nadzieję, który leczył ich choroby, który nawet umarłych do życia przywracał. Ten dziwny pan bardzo lubił przebywać wśród ludzi, uczył ich, że mają być dla siebie dobrzy, że nie wolno im gniewać się na siebie nawzajem, uczył, żeby nie krzyczeli na siebie, by przebaczać, jeśli ktoś zrobi coś złego. Ciepły jak szelest głos babci powoli zamykał zmęczone powieki pięciolatki, oddając ją w słodkie ramiona dziecięcych snów. A potem go zabili. Przybili mu ręce i nogi gwoździami do drzewa. Włożyli mu też na głowę taki wianuszek z kolców, o jak na tym obrazku. Przybili go

do drzewa i była tam też jego mama. I płakała. Dlaczego, babciu? Dziecko walczyło ze snem, by wysłuchać bajki do końca. Dlaczego to zrobili? Bo on kochał Pana Boga i ludzi. Bo on przyniósł światło na ziemię. Małe oczęta już prawie się zamknęły. To smutne, babciu. Ale nie martw się, kochanie. Ten pan żyje. On po trzech dniach wyszedł z grobu. I żyje do dziś. I patrzy na nas z nieba. Dwa cienie zatrzymały się w tańcu. Malutkie usta znie ruchomiały, nóżka przestała się kołysać. Na chwilę w szarym, ciasnym pokoiku słychać było tylko trzask ognia i cichutki oddech małych płuc. Noc wślizgnęła się do domu i okryła miękką dłonią dwoje przytulonych do siebie postaci, jakby chcąc usłyszeć ostatnie słowa zmęczonej staruszki, słowa pełne tajemnicy. Ten pan żyje do dziś. I patrzy na nas. Ale nie mów tego nikomu, kochanie. Nie opowiadaj tej bajki. Nigdy, nikomu. Bo nikt ci nie uwierzy. Zapadła cisza. Noc zamknęła już dwie pary zmęczonych oczu.

Parę lat później malutka Larisa stała nad szarym grobem, który na zawsze zamknął pomarszczone usta kochanej babci. Nie wiem, jak wyglądał jej grób. Być może taki jak miliony innych w tym czasie, być może widniał na nim znak czerwonej sowieckiej gwiazdy, symbolu walki. W tym kraju ludzie mieli wiarę. Wiarę we własne siły. W potęgę i możliwości

ludzkiego umysłu. Wierzyli, że upartym trudem i pracą często ponad siły, potem i krwią uda się zbudować raj na ziemi. Mieli wiarę w lepsze jutro. Wierzyli, że uda im się podnieść ten kraj z wojennych popiołów i wzbąć na wyżyny. Przecież, jak im obiecywano, Związek Radziecki to siła! To moc zjednoczonych ramion, umysłów i serc. To potęga. Władze partyjne każdego dnia zapewniały, że sukces jest już bliski, że trzeba go po prostu wydobyć siłą własnych mięśni z kopalń i hut.

Larisa podrosła. Poszła na studia. I jak sama opowiadała, celująco zdała naukowy ateizm, marksizm, bardzo dobrze nauczyła się podstaw filozofii socjalizmu. I podzielała wszystkie poglądy i przekonania swojego rodzinnego kraju. Podzielała wiarę sowieckiego społeczeństwa w tamtym czasie, pozostawiając w ciemności niepamięci dawno usłyszane słowa odważnej staruszki. Zepchnęła je na samo dno serca i kazała milczeć. Przecież to tylko bajka. Prawda, że dziwna. Larisa ciężko pracowała na swoją i swoich bliskich przyszłość. Walczyła o lepsze jutro dla swojej ojczyzny, niosąc w majowym słońcu transparenty z krzykliwymi hasłami. „I robiłam wszystko, na co pozwalało mi moje sumienie ateisty” – gdy opowiadała tę historię, głos jej drżał. Małe, ciasne mieszkanko, puszka groszku i pięćset gramów mięsa

rosołowego na 1 maja miały być dowodem, że się nie myliła. Ona i miliony innych w tamtym czasie. A potem znowu przyszła noc. Po upadku Związku Radzieckiego dla wielu w kraju nastały trudne dni. Miliony ludzi każdego dnia walczyły, by związać koniec z końcem. Serca zostały złamane, duch przygnieciony do ziemi, z oczu lały się łzy. Larisa jeszcze przez parę miesięcy chodziła do pracy, wierząc, że zakład wreszcie wypłaci zasłużone wynagrodzenie.

Mijały lata, które były – jak sama opowiadała – jakby żalostną walką o pozbawioną wartości egzystencję, która nie miała sensu. Spojrzała w niebo. I skąd tu czerpać nadzieję? Wszystko zawiodło. W tym czasie w jej mieście otwarty został kościół. „W tym czasie nie miałam potrzeby spotkania z Bogiem” – powiedziała. „Nie odczuwałam pragnienia relacji z Nim. Albo przynajmniej tak mi się wydawało. Jak bardzo człowiek potrafi oszukiwać sam siebie, jak bardzo w to wierzy. Być może dlatego początkowo nie zwracałam nawet uwagi na ten dziwny budynek z krzyżem na dachu”. Mijały miesiące. I ku swojemu zdziwieniu nagle odkryła coś, czego się nie spodziewała.

Co on tu robi? Gdzieś w głębi serca odezwał się szepczący głos. Ten dziwny pan z bajki... na głowie wianuszek z kolców, ręce i nogi przybite, jak na obrazku...

przecież to była tylko bajka! „Od tej pory nie mogłam już przejść zupełnie obojętnie obok tego budynku. Każdego dnia przyciągał mój wzrok ten dziwny mężczyzna przybity do drzewa, jego wzrok, jakby szept gdzieś z oddali, ciepło bijącego serca...” Trzeba było kilku długich miesięcy, by ten tajemniczy szept wydoستاł się z dna serca i zmusił do działania. Kupiła książkę. Chciała wiedzieć. I ta postać powróciła. Na kartach książki powrócił cichutki głos kochanej babci, opowiadający przedziwną historię walki Boga o zbawianie świata. O betlejemskiej szopce, w której Bóg stał się człowiekiem, o krwi wylanej za życie świata, o zmartwychwstaniu tych, których ona obmywa, o Kościele, który pielgrzymuje, ciesząc się nadzieją i wolnością dzieci Bożych. „A więc moja babcia była katoliczką... przez te wszystkie lata... była ochrzczona... miała wiarę... i Boga w sercu”. Powróciły wspomnienia. „Ten Pan żyje do dziś. I patrzy na nas”.

Mijały lata. Trzeba było kilku lat, by drżącą ręką złapać za klamkę kościoła. By pierwszy raz wejść. By nieśmiało zapytać. Została przyjęta do grupy katechumenów – ludzi dorosłych przygotowujących się do przyjęcia sakramentu chrztu świętego. „To były przedziwne dni – najdziwniejsze w moim życiu. Czułam, że coś się we mnie łamie, zmienia. Czułam, że staję

się czysta. Nie wiem dlaczego. Właśnie wtedy zrozumiałam, w jakiej pustce dotychczas żyłam, jak ciemność oblepiła mi serce, jak wysssała ze mnie wszystko, co piękne. Podczas obrzędów, w których kapłan dokonuje błogosławieństwa kandydata na dalszą drogę przygotowania do chrztu, czułam jakby dotyk Boga. Słowo daję, nie czułam wtedy ręki księdza, który kreśli krzyż na moim czole, lecz światłość, która dotyka mojej duszy. Kandydaci nie mogą uczestniczyć w pełni we mszy św. Ksiądz zabraniał nam stać blisko ołtarza. Po modlitwie odsyłał nas na chór, byśmy stali daleko od zebrania wiernych, daleko od Eucharystii”. Widziałem, jak łza płynie jej po policzku. „Wam może wydać się to okrutne, ale dla mnie było zbawienne. Właśnie tam, na tym chórze, zdałam sobie sprawę, że gdyby była tu moja babcia, to ona siedziałaby w pierwszej ławce, bo należała do Chrystusa, była jego dzieckiem. A ja nie. Tam na tym chórze rosło we mnie pragnienie, tęsknota za Bogiem, za żywą wodą, której pragnęłam całe życie. Tam na tym chórze – to był decydujący czas, decydująca tęsknota i krzyk duszy. I wreszcie nadeszła ta noc. Najwspanialsza ze wszystkich w moim życiu. Wielkanoc. Larisa... Ja Ciebie chrzczę... noc pełna światła... w imię Ojca... otuliła mnie... i Syna... woda pełna życia spłynęła po moim

czole... i Ducha Świętego. Zapamiętałam przedziwną Światłość. Ona zamieszkała gdzieś tam głęboko we mnie i od tej nocy już nic nigdy nie było takie samo. Każdy dzień był dniem radosnego oczekiwania na życie, na radość. Każdy dzień był jakby pieśnią chwały temu panu z wianuszkami z kolców, który stał się Panem mego życia”.

Pani Larisa jest dziś około sześćdziesięcioletnią osobą. W swojej parafii jest katechetką, przygotowuje do chrztu osoby dorosłe, które zgłaszają się, prosząc o sakrament. Słyszałem jej głos, widziałem drżenie jej rąk. Słuchając jej, zobaczyłem łaskę, która kroczyła z nią przez życie. Widziałem wiarę, która nappełniła każdą chwilę sensem i nadzieją. Uczę się w ten sposób patrzeć na ludzi. Zwłaszcza na starsze osoby, które drżącymi rękami ściskają w rękach różaniec. Jak z bólem w nogach, chorym sercem, przychodzą na mszę św. Chcą być blisko tego światła. Każda z tych osób niesie jakąś historię łaski. Historię Boga, który szuka i znajduje człowieka. I dziękuję Bogu za takie osoby. One przekazały nam ten wielki dar, największy ze wszystkich – wiarę, którą przekazują młodemu pokoleniu, ziarno, które wydaje plon po pewnym czasie.

Spis treści

O. HENRYK ŚLUSARCZYK SVD

Maciuś	5
--------------	---

O. ANDRZEJ ZALEWSKI SVD

Oksana Tkaczenko	10
Nikita	14
Najsmutniejszy pogrzeb	16
Z dala od cywilizacji	18
Lubow	19
Ekstrasensi	22
Daj mi uwierzyć w Ciebie	25
Jak dzieci	28

O. ALOJZY SZCZEPONEK SVD

Opatrzność Boża	31
Próba	37

BR. MARIAN PAROŃ SVD

Figle Nowogwinejczyków	44
Było gorąco	46
Ziemniaczana Wigilia	49

O. ANTHONY ERRAGUDI SVD

Życiowy szok	52
--------------------	----

O. KRZYSZTOF GRZYBEK SVD

Miasto Zwiastowania	57
---------------------------	----

Misja ocalania	69
----------------------	----

Lucyna	70
--------------	----

Wygnańcy Ewy	76
--------------------	----

Noce	80
------------	----

Święty Arnold Janssen pragnął, aby Ewangelia Bożej Miłości dotarła aż na krańce świata. Realizując tę myśl, w latach 1875–1889 założył trzy misyjne zgromadzenia zakonne:

Zgromadzenie Słowa Bożego (*łac. Societas Verbi Divini – SVD*) jest męskim misyjnym zgromadzeniem zakonnym. Potoczna nazwa werbiści pochodzi od łacińskiego *verbum*, czyli słowo. Charyzmatem jest głoszenie Słowa Bożego tam, gdzie o nim jeszcze nie słyszano, i przygotowywanie liderów Kościoła lokalnego do samodzielnej pracy ewangelizacyjnej.

Zgromadzenie Misyjne Służebnic Ducha Świętego (*łac. Congregatio Missionalis Servarum Spiritus Sancti – SSpS*) jest żeńskim misyjnym zgromadzeniem zakonnym. Podstawowym celem jest posługa misjonarska: ewangelizacja, szkolnictwo na wszystkich szczeblach, służba zdrowia, obozy uchodźców, osoby uzależnione.

Zgromadzenie Sióstr Służebnic Ducha Świętego od Wieczystej Adoracji (*łac. Congregatio Missionalis Servarum Spiritus Sancti – SSpSAP*) jest żeńskim klauzурowym zgromadzeniem zakonnym. To zakon kontemplacyjny, siostry żyją w ścisłej klauzurze, a głównym charyzmatem jest modlitwa wstawiennicza, zwłaszcza w intencji misjonarzy i misjonek. W sercu życia zakonnego jest nieustanna adoracja Najświętszego Sakramentu.

Dom Misyjny św. Kazimierza w Kleosinie to jedna z kilkunastu placówek Polskiej Prowincji Zgromadzenia

Słowa Bożego na terenie Polski. Prowadzimy działalność misjonarską i duszpasterską. Jesteśmy wsparciem dla współbraci posługujących poza granicami Polski.

Pracę misyjną naszego Zgromadzenia można wspierać, m.in. zamawiając **Misyjne Wieczyste Msze Święte**. Odprawiamy je codziennie, bez przerwy i zawsze. Każdego dnia odprawia się 7 Mszy Świętych, w których udział ma wpisana osoba, nawet po śmierci. Można wpisać osoby żyjące i zmarłe, podając imię i nazwisko:

- dzieci, aby uprosić łaskę dobrego wychowania,
- chorych, aby uprosić łaskę zdrowia,
- stojących z dala od Boga, aby uprosić łaskę wiary,
- zmarłych, aby wyblagać łaskę nieba.

Ponadto Polska Prowincja Zgromadzenia Słowa Bożego wydaje ilustrowany miesięcznik „**Misjonarz**”. Zawiera on artykuły, wywiady i reportaże z terenów misyjnych, listy od osób prowadzących pracę ewangelizacyjną na wszystkich kontynentach.

Wszystko zaś po to, aby realizować wezwanie założyciela św. o. Arnolda Janssena: „Niech żyje Święty, Trójjedyny Bóg w sercach naszych i w sercach wszystkich ludzi!”.